# ANDROGYNE

DRUKOWANO DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE 1900 ROKU. — NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO WE LWOWIE. — WARSZAWA: KSIĘGARNIA S. SADOWSKIEGO. — POZNAŃ: KSIĘGARNIA A. CYBULSKIEGO



Stanisław Przybyszewski

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

# ANDROGYNE



ARTYŚCIE

I SERDECZNEMU DRUHOWI

STANISŁAWOWI BRZOZOWSKIEMU

# W godzinie cudu

Wrócił późno do domu.

Siadł przy biurku i bezmyślnie patrzał na olbrzymi bukiet kwiatów, opleciony szeroką, czerwoną wstążką.

Na jednym końcu wstążki jakieś mistyczne imię kobiece.

Nic więcej.

I znowu doznał tego samego uczucia, które go długim miękkim dreszczem rozkoszy przebiegło, gdy mu ten bukiet podano na estradę po koncercie.

A przecież obrzucano go kwiatami, tyle wieńców posypało się u jego nóg, i dziwna, że tylko ten jeden bukiet, ten jeden z tą czerwoną wstążką i tem mistycznem imieniem, którego wtedy jeszcze nie widział...

Co to było?

Jakby jakaś ciepła, drobna ręka chwyciła jego, nie — nie chwyciła, — wtuliła, wcałowała się pieszczącymi palcami w jego dłoń.

Może całowała te kwiaty, zanim mu je podano; może wpieściła swą twarz w miękkie łoże kwiecia, zanim je w bukiet powiązała; może przytuliła ten pyszny naręcz kwiatów do swego serca; może wgrzebywała się nagiemi ramionami w całe posłanie z kwiatów...

I kwiecie przesiąkło jej oddechem, przesyciło się lubieżnem ciepłem stęsknionego ciała; może jeszcze drży cichym, namiętnym szeptem jej pragnień...

Bo kochała go, znała go dawno, drżała dnie całe, zanim się odważyła dać mu te kwiaty... wiedział to, wiedział z pewnością...

Wiedział, że go kochała, bo takie kwiaty dają tylko dziewice, które kochają.

---

Zamknął oczy i słuchał.

Widział ogromne róże, czarne, pąsowe, białe, chwiejące się na wysokich prętach; słaniały się i gięły, upojone swoim własnym przepychem.

Widział tuberozy, jak białe gwiazdy betleemskie na wiotkich łodygach; widział olbrzymie drzewa białych i czerwonych azalij, obsypane miękkim puchem kwiecia, strojne i pyszne, jak dziewicze suknie balowe; widział orchideje z otwartemi usty, ziejące obezwładniającym czarem i lilie z rozwartymi kielichami, pijące dyamentową rosę i narcyzy i bijony i begonie — całe powodzie różnobarwnego kwiecia, upajającej woni spłynęły do jego duszy.

Miękki zapach bzów majowych rozlał się cichą rozkoszą dalekich fletni pastuszych w nocach wiosennych — cichemi rękami obejmowały lilije jego serce; lubieżną rozkoszą wdychały się w niego róże; świetlistym blaskiem okoliła go woń tuberozy — rozkosznym jadem wssysał się w niego odurzający zapach kwiecia akacyi, co się deszczem i błyskawicą burzy letniej przepoiły, a wszystkie te zapachy miękkie i chłodne, jak oczy dziewcząt, nieświadomych swej płci — gorące i lubieżne, jak ramiona rozpasanej hetery — jadowite i krzyczące jak oczy zdeptanej żmii: to wszystko zlewało się w niego, przenikało, syciło go; był odurzony, obezwładniony; czuł, że ruszyćby się nie

mógł, nie odróżniał już wrażeń, nie widział barw, nie czuł zapachu, wszystko zlało się w jedno.

Z duszy wykwitł mu daleki obszar ugorów, pusty, szeroki, jak jęki rozkołysanych dzwonów w pomrokach Wielkiego Czwartku; gdzieś w dali szklił się biały pasek jeziora, spowitego w senną ciszę upieką południa; tylko tu i owdzie wystrzelała smukła łodyga dziewanny, jakby nagle rozerwała upalną ziemię i zwycięską pięścią kwiecia wytrysnęła w niebo — tylko tu i owdzie parę skarłowaciałych jałowców, pokurczonych w dziwaczne kształty, jakby je struł jad pogniłych trupów, co tu kiedyś krwawym pokosem legły — tylko tu i owdzie po piaszczystych rowach promieniste, błękitne koszyczki cykoryi, czekające z utęsknieniem chwili zachodu, kiedy kwiatki stulić mogą i śnić tajemne czary cmentarnie pustych ugorów. .

I znowu widział rozstajne drogi wśród torfisk i bagien. Nadeszła upiorna godzina, pełna tajemnych strachów i lęku. Raz po raz przebiegnie błędny ognik, chyżym jak myśl lotem; raz po raz rozleje się ciche, tajemne światło na bagnistych stawach; raz po raz zaskowyczy pies w pobliskiej wsi, a inny mu odpowiada przeciągłym wyciem; to znów odezwie się ochrypły ryk rogu stróża — i znowu cisza, cisza co się wkrąża, wgłębia w przepastne czeluście i wszystko chłonie i moje dziś i moje jutro, przykuwa do ziemi, wyodrębnia od całego świata i tak nieskończenie usamotnia.

I w coraz to nowych obrazach przesuwała się przed jego duszą cała ziemia rodzinna: olbrzymia płachta, postrzępiona i pokrajana w zielone szmaty jęczmienia, w rozkwiecone białe pola tatarki, złote łany

żyta, krwawe zagony ciężkich jak bicze kłosów pszenicznych — cała ziemia, umajona, rozkwitła, rozpasana w szale rozrodczym, w godowym przepychu uroczystej ciszy — cała ziemia aż hen pod górki, pod parkan białego kościoła...

Lały się świętą łaską szerokie pasy dzwonów na pola; lał się wokół promieniejącą strugą ogromny śpiew procesyi Bożego Ciała; migotały wśród czarnych krzewów, okalających kościół, białe sukienki dziewcząt, sypiących kwiatki przed nogi siwego kapłana; czerniały sukmany, przewiązane czerwonymi pasami...

Drgnął. Aż wkulił się w siebie z tęsknoty.

I znowu w nieskończonych korowodach: pochód weselny — szerokie łkanie skrzypiec z kory lipowej, ochrypłe dudnienie basów, brząkających groszami, które pan młody sypnął do ich wnętrza — i krzyk co miarowo rwał się ostrym i piskliwym promieniem w górę: Oj nasza! To znowu wlecze się po roztopionych drogach na podzimku mały orszak śpiewających ludzi. Parę dziewcząt niesie na paskach białą trumienkę zmarłego chłopca — to znowu — o, o — bez końca, bez miary, nieskończonem pasmem...

Zwolna ciemniało mu w oczach — tylko parę niejasnych, oderwanych obrazów prześlizgło się leniwo przez jego mózg — dusza się mroczyła, gasła, kołysała się w sen, aż naraz zerwała się w potężnej pieśni.

I czar i odurzająca woń egzotycznych kwiatów i raje ziemi rodzinnej, to wszystko zlało się w jego duszy w rycerskie pochody spiżowych dźwięków, w stal okutych, aż ziemia się uginała pod ich zwycięskim rozmachem, — dusza jego stopniała w łkających za-

wodach matki, co ostatnie dziecko utraciła; rozzieleniła się rutowym wiankiem w godowych piosenkach; szalała pijanymi podrygami w przepełnionych karczmach — wystrzeliła dzikim krzykiem w górę, jak samotna łodyga dziewanny na spiekłym ugorze — cała pieśń lała się w dzikie łożyska, schła, nawracała znowu się rozlewała...

I chwyciła go jakaś potężna moc w swe ramiona. Szał burzy okręcił go złowrogim skowytem, porwał go na czarne odmęty spienionych potopów, wichrzył się w nim, wył, szarpał go, tylko w przepastnej głębi jasny dźwięk, co nikł i pojawiał się, tonął i wynurzał się z odmętów, jak odbicie bladej gwiazdy w rozhukanem rozkipieniu ciemnych fal.

I długo walczył ten jasny promień z wodną rozwieją, burzą targanych mórz, ale zwolna rozlewał się upornie w cienkie paski, skręcał się w wężowych rzutach, podwijał się pod siebie, to znowu wyciągał się jak struna: — ponad chwiejącą się roztoczą rozpacznych skowytów, cierpień odmętnych, krzyku i wycia przeskakiwały ciche tęskne fale światła; coraz szersze, coraz silniejsze fale ukojenia i cichej rezygnacyi ujęły burzę i szał w świetliste ramiona, tuliły i kołysały w jakąś nieziemską tęsknotę, w jakieś omdlewające upojenie...

---

Drgnął.

Wyłoniła się twarz dziewczęcia: jasny dźwięk, jasne odbicie bladej gwiazdy w rozkipieniu ciemnych fal, — nie widział jej nigdy, ale znał ją, znał...

Ocknął się, przetarł oczy — mózg mu się widocznie rozmajaczył. Był przecież tak wyczerpany...

Zapalił papierosa — chodził po pokoju, ale nie mógł się pozbyć wizyi tej drobnej twarzy wpół dziecka, wpół kobiety...

Tak, to ona! Ona darowała mu te kwiaty. Zastanowił się, skąd to wiedział z taką pewnością.

Przecież mu je podawał na estradę służący...

I myślał, myślał...

— Więc była tam, siedziała w pierwszym rzędzie i wświeciła ciemne gwiazdy swych oczu w moją duszę, odbiła je w odmętach mej duszy. Wtedy, kiedy cały świat zanikł mi z przed oczu, kiedy wszystko się zlało w jeden orkan burzy, co z pod mych palców wypływał, potęga jej tęsknoty odbiła we mnie te oczy — jej oczy... A ja sam dopełniłem jej twarz, bo tylko taka twarz płomieni tem światłem, co się wokół tych oczu rozlewa...

A światło to ogarniało go całego, wsiąkło w krew jego, poczęło okrążać żyły; przeszedł go dreszcz od góry do dołu; drżał w nieznanem upojeniu.

— Bo przed chwilą odkupienia dzieją się dziwne znaki — szeptał cicho do siebie — cała ziemia się we mnie rozbudziła; całe życie prześlizgło się błyskawicą przez moją duszę; cała rozpacz i rozkosz mego życia roztoczyła swe skrzydła przed mojemi oczami...

Stanął i patrzał długo na bukiet kwiatów i na czerwoną wstążkę z tem tajemniczem imieniem...

Tak, — ona gibka i wiotka jak łodyga tuberozy, a oczy jej czyste, jak te dwie białe gwiazdy na słaniającej się sennie tuberozie.

Znowu zastanawiał się nad swoją wizyą...

To tajemna chwila, kiedy słońce się budzi — pomyślał...

Patrzał długo przez okno na śnieżne pola poza-

mieścia — w pierwszym brzasku błękitniał śnieg; rozlewający się pasek jasnych tonów wił się w wężowych liniach na krańcach nieba...

---

Odtąd już nie mógł się pozbyć wizyi tej drobnej twarzy z ciemnemi gwiazdami, co swem światłem krążyły w jego żyłach — przed oczyma miał ustawicznie jej gibką postać wpół dziecka, wpół kobiety, wkształt smukłej tuberozy z dwoma białymi kwiatami...

Całemi godzinami myślał i marzył.

I wciąż i ustawicznie te same zjawy przesuwały się przed jego oczyma. W głębi jego duszy splotły się nierozerwalnie widzenia ziemi jego, korowody tonów i pieśni, zapachy kwiatów, ciemna burza i odbicie bladych gwiazd w rozkipieniu fal morskich.

Nie rozumiał całego związku — zdawało mu się czasem, że ona — to jego ziemia w całej swej wiosennej tęsknocie — kwiaty, które mu dała, to strój, wiecznie odmienny, a wiecznie ten sam kształt jej duszy — oczy jej, to...

Przerywał natłok myśli, chwytał kwiaty, zasypywał się nimi, tarzał się w nich, odurzał się i marzył i śnił o niej...

Już ją miał w swoich ramionach, podrzucał w namiętnym uścisku na swe piersi i całował — całował...

A naraz zrywał się w gwałtownem postanowieniu: musiał ją odszukać — musiał!

Byle tylko pochwycić jeden promień jej oczu — byle tylko jeden przebłysk, jedno okamgnienie jej spojrzenia, a pozna ją — niezawodnie pozna ją...

I błądził całymi dniami po ulicach miasta, całemi godzinami siadywał w alejach, co miasto opasywały —

tysiące ludzi przesuwało się przed jego oczyma, w każdej twarzy dziewczęcej dopatrywał się jej, każde spojrzenie zdawało się wświecać w jego żyły tę samą rozkosz, jaką jej oczy mu serce aż do dna przepaliły — ale wciąż to samo rozczarowanie: to nie ona!

A jednak czasami słyszał w wieczornym zmroku tuż po za sobą odgłos kroków, gdyby łopot niespokojnych skrzydeł, co lada chwilę do lotu zerwać się miały — czasami widział błyskawiczny przebłysk jakichś ciemnych oczu, co z nieznanych dali, czy też pobliży w duszę mu się wgryzały — raz uczuł jej miękką, pieszczącą dłoń w swojej, gdy stanął w ciemnym kącie kościoła i chłonął smutną zadumę wieczornych modeł, ale gdy się odwrócił, gdy oczyma wżerał się w mrok, by go w świetliste szmaty rostrzępić, widzenie pierzchało; pozostał tylko cichy przebłysk oczu, ciepły oddech ręki, a wzdłuż nerwów spłynął kształt wiotkiej, gibkiej tuberozy z dwiema białemi gwiazdami.

---

Śnił, był królem...

O bolesna rozkoszy bezsennych nocy, kiedy leżał na tarasie swego pałacu i patrzał na gwiazdami obsiane niebo.

Wokół pięły się podzwrotnikowe bluszcze; z ciemnych krzewów wyrastały złote kiście czarownego kwiecia; pięły się kwiaty, jakich jeszcze oko ludzkie nie widziało: kwiaty z olbrzymimi kielichami, gdyby dzwonki mosiężne, kwiaty z liściem, połyskującym barwą roztopionej miedzi, kwiaty wkształt łona rozkwitających dziewic, kwiaty, które, zda się, żywemi oczyma patrzały, oczyma śnieżnych mew i albatrosów... to znowu

łodygi, jak lilije z zamarłych serc wyrastające, to znowu płomienne języki wykwitłe z bulw, co wyglądały jak potworne czaszki ludzkie — całe nieprzerwalne gąszcze najdziwaczniejszych kwiatów. Wokół, jak daleko oko sięgało, olbrzymie ciemne lasy, porosłe paprociami, storczykami, ananasami — a wszystkie te latorośla pięły się po palmach, kokosach, drzewach chlebowych, wiły się wokół nich, splatały i wiązały drzewa, przechodziły z gałęzi jednego pnącza na drugi, a z tarasu królewskiego pałacu wyglądał las owity powojami i lianami, gdyby jedno olbrzymie, potwornie splecione wężowisko.

I w gwiazdami olśnionej, błękitnej nocy, w całym tym odmęcie zapachów, kształtów, barw, śnił on — król — o niej jedynej — tarzał się w gorączce tęsknoty i pragnień, wił się po miękkich kobiercach, wgryzał się palcami w ziemię, odurzał się jadowitą wonią najpotworniejszych kwiatów, krzyczał za nią — napróżno...

Aż wreszcie:

Kazał zwołać najpiękniejsze dziewice swego kraju, ustawić w bezmiernej sali w dwa rzędy, — ciągnące się od stóp tronu, aż w głąb pałacowych ogrodów.

I ubrany w bisior i purpurę siedział długo na swym tronie, wpił się twarzą w obie dłonie, patrzał w długie szeregi, drżących oczekiwaniem i przeczuciem dziewic, z których każda z rozkoszą stałaby się jego niewolnicą — patrzał i myślał...

Która?

Jakżeż ją odszuka w tym czarownym lesie jasnych, czarnych, czerwonych główek?

A serce jego wyczuje ten jeden promień tych jednych oczu wśród tych drżących, nieśmiałych, wsty-



2*

dliwych, to znowu palących i wyzywających spojrzeń, co w jego oczy spłyną?

Która?

Ta, której oczy płomienią gdyby grono wilczojagody, co na dzikich porębach wyrosła?

Ta, z której łagodnych oczu raz po raz wytryśnie krwiożerczy płomień ułaskawionego tygrysa?

Ta, po której czole przeleci błyskawica, co z serca wyrasta i cichym smutkiem na twarzy się rozlewa?

Ta, której ręce opadły, gdyby zwiędłe lilije, czy ta, co jagody swych piersi w kuszące dłonie ujęła, czy ta z kształtami lśniącego węża, czy ta, co z promieni gwiazd, zda się, wykwitła?

Silniej jeszcze wpił twarz w swe rozpalone dłonin, bo czuł, że jej nie odnajdzie — szereg spływających się ze sobą kształtów, twarzy, oczu, zamącił duszę królewską...

Zstąpił zwolna z tronu — a szereg dziewic słaniał się jak świeży las białych brzózek, gdy wiatr przez niego przewieje.

Gdyby pszeniczne kłosy w parne południe, gdy się nagle zerwie gorący powiew, skłoniły się główki: cała sala zdawała się dyszyć zapartym oddechem.

I trzy razy przeszedł szereg najpiękniejszych dziewic swego kraju, wolno, coraz wolniej, aż wreszcie siadł na tronie, skinął ręką — pozostał sam.

Ciemniało w mrocznej sali, a król pogrążony w dzikiej rozpaczy siedział jeszcze na tronie, wsparł twarz na zaciśniętych pięściach i patrzał bezmyślnie w dal.

Naraz czuł, jak się ktoś skrada wzdłuż lasu kolumn, co wspierały sufit sali — ślizga się ostrożnie gdyby wąż, a w ślad za nim spływa jaśń, gdyby odblysk nagiego ciała.

Król podrzucił dumnie głowę, bo nikt z śmiertelnych nie powinien widzieć mocarza w rozpaczy.

Klasnął w dłonie, a niezmierna sala rozbłysła metalowem jaśnieniem; i w tym mrocznym półzmroku widział, jak się do stóp tronu czołga kupiec syryjski, wlokąc za sobą nagą dziewicę.

Ramiona jej oplotły złote węże, złotymi wężami opasane były kostki, a wokół biódr złoty pas, spięty miast sprzączki kwieciem lotosu, wysadzonem kosztownem kamieniem.

Król porwał się i patrzał zdziwiony...

Nie widział jej twarzy, bo zasłoniła ją ramionami, widział tylko jej postać, widział gibkie a wiotkie kształty tuberozy z dwiema białemi gwiazdami, które zasłoniła liliami serca.

Z zapartym oddechem patrzał król na dziwne czary niewolnicy, drżał jak w trwodze śmiertelnej; widział, jak się słaniała, jak zdała się stać w ogniu ze wstydu i lęku; włosy jej spłynęły ciemną falą po białych liliach — naraz klękła, wyciągnęła dłonie i spojrzała na niego.

To ona!

Chwycił się oburącz poręczy tronu i z lękiem i przerażeniem wyszeptał:

Tyś mi dała kwiaty?

Skinęła głową...

---

Przebudził się — zerwał się na równe nogi, wyciągnął ręce z głośnym krzykiem — daremnie — wszystko zanikło...

---

---

Chwilami zdawało mu się, że oszalał.

Nie był w stanie o niczem myśleć, zapełnił swe pokoje kosztownem podzwrotnikowem kwieciem, chłonął zapomnienie i jad zabijających snów.

Budził się z snu, by pogrążyć się w drugim, coraz dzikszym, coraz namiętniejszym...

Śnił, że jest potężnym magiem...

Przez trzy dni i trzy noce przygotowywał się do potężnego zaklęcia. Trzy dni i trzy noce wgłębiał się i odczytywał znaczenie tajemnych znaków, spisanych w książkach, zamkniętych na siedm pieczęci; pisał i wbijał sobie w pamięć ukryte runy, które wywoływały nieznane potęgi; trzy dni i trzy nocy upajał się jadowitymi wywarami roślin, co kwitną w tajemnych czarach nocy Świętojańskiej, aż wreszcie uczuł taką moc i potęgę, że mógłby przyspieszać dowolnie wzrost roślin, rzeki w biegu zatrzymywać, a nawet pioruny na ziemię ściągać.

I w godzinie wielkiego cudu ubrał się w kosztowne szaty praojca swego, Samyazy, włosy przewiązał na siedm węzłów związaną przepaską, wziął miecz do ręki, wykreślił koło, wpisał w nie tajemne znaki, stanął w jego środku naprzeciw wielkiego zwierciadła i zawołał wielkim głosem:

O Asztaroth! Asztaroth!

Matko miłości, coś mi jadem pragnień i tęsknoty przegryzła serce, ogień namiętnych szałów rozlała w żyłach moich — matko jedyna, co z strun duszy mojej rwiesz bolesne jęki i krzyki tęsknoty, straszna matko, co ciało moje rozciągasz w piekielnej gorączce daremnych żądz, —

bądź pozdrowiona!

O Asztaroth! Asztaroth!

Szatańska córko złudzeń i kłamstwa, co mi w snach moich czarujesz przed oczy me największe rozkosze i upojenia, rzucasz mi ją w wściekły uścisk mych ramion, gibką wikliną jej członków oplatasz ciało moje — okrutna córko szatańska, co pijesz potęgę i szał i moc z krwi mojej, a budząc mnie, szarpiesz duszę moją bólem i rozpaczą —

zmiłuj się nademną!

I poraz trzeci zakrzyknął:

O Asztaroth! Asztaroth!

Matko przewrotności, patronko łona niepłodnego i niepłodnych rozkoszy, co mi w duszę wpiekłaś pragnienia, których nigdy nie gasisz, w krew moją wświeciłaś sny nieziemskiej chuci, których zaspokoić nie chcesz, mózg mi przesyciłaś jadem nieludzkiej żądzy, co mgłą obłędu oczy zachodzi —

wysłuchaj mnie Pani!

A w strasznym wysiłku włosy mu dębem stanęły. Drżał i trząsł się, jakby każdy członek żył samodzielnie dla siebie. Zdawało mu się, że się wyłania sam ze siebie, że się coś z jego duszy, z jego najgorętszych pragnień, najwścieklejszych żądz i tęsknot po za nim kształtuje, ciałem się staje.

Rozległ się straszny grzmot, jakby jakaś planeta oberwała się i runęła na ziemię — zerwał się wściekły orkan wichru, piekielne chichoty i wycia szarpały mu mózg na strzępy i naraz widzi w strasznem przerażeniu, jak się wokół zwierciadła tworzy świetlista mgła, krąży, wiruje, przetwarza się w kształty; coraz jaśniej rysują się linie i zarysy, krąglą się, nabierają ciała, tętnią krwią, dyszą ciepłem i żarem życia...

Fala błyskawic zapieniła się i opadła w ciemnej

komnacie, piorun uderzył w olbrzymie zwierciadło, rozległ się krzyk, a na szyję opadła mu w namiętnem, dzikiem rozpasaniu ta, której szukał, której pragnął, dla której duszę swą zaprzepaścił...

---

O nocy szałów i błędnych upojeń!

---

Przeraził się tych snów.

Nie poznawał sam siebie; więźby i spójnie jego duszy rozluźniały się, pękały; nic go już nie obchodziło, żył tylko w swoich potwornych snach, a w rękach miął, ściskał czerwoną wstążkę, którą były przepasane kwiaty, dawno już powiędłe.

Zdawało mu się, że coś z jej istoty wsiąkło w tę wstążkę. Czuł, że żyje. Gdy ją głaskał, zdawało mu się, że ręka jego spływa wzdłuż jej aksamitnego ciała; gdy ją całował, czuł zapach jej jedwabnych włosów; okręcił ją naokoło swych piersi, a czuł oplot jej wiotkich członków...

Coraz gwałtowniej wzrastała w nim tęsknota i ból; szarpał się w bezsilnej niemocy. Ta, która mu kwiaty dała, stała się jego wampirem, co wszystką krew mu z żył wysysał.

I znowu włóczył się po pustych ulicach i alejach; o zmroku wchodził do kościołów, bo raz kiedyś zdawało mu się, że jakaś ręka, jej ręka, wsunęła się cichą pieszczotą w jego dłoń. Błądził o zmroku wśród wiosennych drzew, bo kiedyś słyszał za sobą jakieś kroki — jej kroki — gdyby lękliwy łopot niespokojnych skrzydeł. Godzinami całemi stał w oknie i wżerał się w ciemność, bo raz kiedyś zdawało mu się, że widzi czyjeś oczy — jej oczy — jak się z gorącą tęsknotą wpiły w niego.

Aż razu pewnego:

Zmrok już zapadał. Pomiędzy gęstemi koronami drzew alei migotał tu i owdzie krwawy blask latarni; zrywał się i gasł rozgwar miasta, a jakaś parna, nieskończenie smutna zaduma zaległa nad zielonymi dachami drzew.

I naraz ujrzał ją na rozstaju dwu alei.

Wiedział, że to ona.

Te same oczy, które mu w duszę onego wieczoru wświeciła, ta sama twarz, bo tylko taka twarz płomieni tem światłem, co się wokół tych oczu rozlewa.

Drgnął, stanął, i ona stanęła przelękniona.

Spojrzenia ich schwyciły, splotły się. Chwilę stali przykuci do ziemi: oczy ich milczały długo w bolesnem spowiciu.

Chciał przemówić do niej, ale czuł, że słowa nie wykrztusi; drżał na całem ciele i ona drżała.

Naraz spuściła oczy, stała chwilkę, a potem przeszła cichym, chwiejnym krokiem.

Oprzytomniał.

Szedł za nią z cicha, ostrożnie. Skradał się wzdłuż drzew, krył się raz po raz za grube pnie, bo wiedział, że się teraz trwożnie obróci i będzie lękliwie nasłuchiwać, czy jej nie śledzi, czy za nią nie idzie.

Widział, jak cień jej przy każdej latarni się wydłużał, to znowu malał, to znowu zupełnie niknął — och, cień jej tylko oderwać od ziemi — pomyślał — jej cień — jej cień...

Naraz zerwała się w nim gwałtowna myśl: pobiedz, pochwycić ją, spojrzeć jej w oczy — długo, przeciągle, schwycić ją za ręce, miąć je w swoich i spytać — jedno słowo tylko: Tyś mi dała kwiaty?

Ale tuż na skręcie wbiegła do domu, tuż, zanim zdołał zamiar swój spełnić.

Patrzał długo w otwartą, ciemną bramę.

Chwilę zdawało mu się, że stanęła i oparła się o ścianę sieni, że czeka na niego, że woła go oczyma — zamigotała biel jej rąk, zaszeleścił jedwab jej sukni — ale nie — mylił się...

---

Wlókł się zmęczony do domu.

Jakiś straszliwy, a nieskończenie cichy smutek krążył mu w żyłach, zlewał się w sercu, wdrążał się w najtajniejszą szczelinę jego nerwów.

Nigdy jeszcze nie był tak smutny.

A więc dopełnił się cud.

Kochał ją.

I przerażony pytał się sam siebie: więc to miłość?

Siadł na ławie i myślał.

Płomienną falą zlał się przed oczyma jego duszy cały szereg kobiet, które znał, pieścił, tulił i w namiętnych splotach z niemi się zrastał...

Ta, niedociekniona, tajemnicza, z połyskiem czarnego jedwabiu; jak pantera, przyczajona do skoku —

Ta, z oczyma gołębicy, a z sercem rozpustnem, łagodna jak gazela i drapieżna jak dziki kot —

Tak, śliska jak wąż, z ciałem chłodnem, jak liście róż wodnych —

Ta, wiotka i pyszna, upojona swym własnym przepychem —

I ta bezpierśna, w kształt smukłego efeba, i ta silna i giętka w kształt klingi z stali damasceńskiej...

A przecież żadnej z nich nie kochał.

Porzucał je bez żalu i nie czuł żalu, gdy go po-

rzucały; a gdy się cofał w tył całą długą drogę swego życia, nigdzie nie napotkał złamanego kwiatu; żadna nadłamana i owiędła gałąź nie mówiła mu: tędy burza przeszła.

Więc to miłość — szeptał — godzina cudu —

Gwałtownie wyrzucił z mózgu namiętne obrazy rozpasanych heter i niewinnych gołębic — wzdrygnął się przed wizyą nagich postaci, lubieżnych splotów, rozpasanych krzyczącą namiętnością rąk i ramion, i z dziecinną cześcią szeptał: Godzina cudu — godzina cudu...

I myślał — myślał...

Kochał ją, jak kiedyś rozlaną strugę światła na morzu ukochał.

Widział olbrzymi, granitowy słup latarni morskiej na cyplu wysokiej skały.

Pomnął dziwaczne kształty tej skały. Jak gdyby olbrzymi, w niebo wyrastający nawrót bałwanów morskich nagle skamieniał w chwili, kiedy się rozstrzępioną grzywą śnieżnych pian miał zwalić w przepastną czeluść morskiej kotliny.

Na najwyższym szczycie skalistego grzebienia strzelał wysoko ponad morzem granitowy słup.

Całemi nocami siedział przy ognisku elektrycznego światła, patrzał przez potężne pryzmaty latarni na wiecznie nowe cuda świetlane.

Widział strugę światła, w klin rozlaną na cichych bezdrożach, w świątecznie czystych nocach księżycowych.

Świetlista, przeźrocza dłoń legła pieszczącym połyskiem na słodkiem łonie kochanki, rozlewała się po niem i przesuwała, jak się przesuwają milczące a spragnione usta wzdłuż drgających piersi dziewiczych.

Noce całe patrzał na tę tulącą pieszczotę, to spragnione błąkanie świetlistych dłoni.

To znowu widział, jak światło haftowało złotym rąbkiem pomarszczoną toń. Jak daleko oko sięgało, pajęcze kręgi złocistych koronek, — coraz większe, coraz szersze, im dalej wzrokiem wybiegał, — a granitowy słup zdawał się jeszcze wyżej w niebo strzelać, dumny czarownym przepychem złotego obszycia.

I patrzał bez końca na olbrzymie sieci pajęcze, usnute z złotych nitek, patrzał na przesuwające się, zwiewne i nieskończenie faliste nici roztopionego złota, jak się z sobą zlewały, wzajem się przeszywały, albo też biegły wzdłuż siebie wyciągniętą struną gwiezdnych promieni.

To znowu widział światło latarni, jak się rozpacznie wżerało w gęste tumany mgieł. Coraz nowe, coraz silniejsze mgły opadały na morze, rozwiewały się znowu, aż wreszcie zbiły się w nieprzedarte obłoki.

Patrzał i czuł tę straszną walkę światła, jak się potężnym klinem wdzierało w gęste opony, jak ostrymi szponami szarpało wodne opary, jak się rozlewało tuż przed jego oczyma białą łuną, a przedrzeć się nie mogło.

Ale najwięcej ukochał je, gdy w dzikich podrywach szalało na rozpienionem morzu, kiedy posady granitowego słupa drżały, jakby były targane trzęsieniem ziemi, a rozhukane kołowroty bałwanów morskich, podrzucanych huraganem, biły z wściekłym hukiem o pryzmaty latarni.

Takiem, ach takiem było światło, które oczy jej w żyły mu wświeciły:

Miękkie i pieszczące jak ta biała dłoń, co legła na łonie morza — spragnione żarem milczących ust,

co po piersi dziewiczej błądzą — drżące i rozkoszne rozigraną pieszczotą złotego haftu promieni; rozpaczne niemocą długich, ostrych palców, co napróżno szarpią ciężkie opony najzawilszych tajemnic; rozpasane bólem świetlnego węża, co z huraganem poszedł w krwawe zapasy.

I w tej samej chwili — w godzinie wielkiego cudu przekształcił mu się cały świat. Wszystkie formy i kształty zlały mu się w jedną giętką, wiotką linię; całe potopy barw, promieni światła spłynęły w jeden ciemny, gorący blask; ocean dźwięków, drgnień, ruchów, gięć i fal rozkwitł jednem pysznem kwieciem pieśni — pieśni, którą była ona — ona jedyna.

I na toż go jego ziemia wydała, na toż rysowała i żłobiła swoje kształty w jego duszy, by się jej postać w nią zlać mogła, jak w odwiecznie przygotowaną formę?

I na toż spływał w jego oczy czar nocy księżycowych na cmentarnie pustych ugorach i rozkosz i ból światła, co morze ukochało i blask słońca, drgającego w upalne południe nad strzechami rodzinnej wsi, — na toż wpiekły mu się barwy spalonych traw i jadowitych kwiatów, bagien i trzęsawisk, by oczy jej mogły się wpić swem światłem aż w dno jego duszy, odcień jej włosów welgnąć w jego nerwy, a ton jej ciała przebiedz dreszczem nigdy nieznanej rozkoszy wzdłuż jego piersi?

I na toż rozjęczała się cała jego ziemia nieskończenie smutną pieśnią, rozdźwiękły dzwony pochmurną zadumą, na ugorach wiatr zawodził w takt poszumu rozkołysanych łanów pszenicznych — by każde drgnienie, każdy ruch jej wiotkich członków, każde zagięcie jej kształtów mogło spłynąć z odwieczną harmonią jego duszy?

Szedł z dumnie wzniesioną głową, szedł jak potężny wódz z cichym, świadomym swej potęgi tryumfem, bo przecież niósł słońce w swej piersi — niósł wszechświat: najtajniejsze zagadki i tajemnice bytu.

Szedł cichy i wielki, bo dusza jego ukazała mu swe najskrytsze głębie, pozwoliła mu czytać swe najtajniejsze runy — i szedł potężny, bo niósł słońce w sobie.

Szedł coraz wyżej stromym szlakiem, ale szedł lekko, jakby go coś niosło, aż wreszcie stanął na szczycie wysokiej góry.

Spojrzał w dół — w kotlinie u stóp jego to rozkołysane morze dachów, dyszące świetlistą łuną światła — to miasto jego.

A w dali poza miastem pasmo gór wygięte, połamane, zjeżone gdyby szeregi gdzieś z poza widnokręgu napływających bałwanów morskich, porosłe lasami kasztanów. Zielone góry kasztanów, wysadzone białemi kiściami kwiecia — och, jak płonęły gromniczne świece kwiecia na zielonym adamaszku, co zda się z nieba spływał w dół ku miastu!

Naraz wezbrało się serce jego nieznaną potęgą, wrósł w niebo, wyciągnął ramiona; dziki krzyk rwał mu się z serca, by słońce, które niósł w piersiach, pokazać całemu światu; czuł, że rozlewa światłość wokół siebie, czuł, że się wznosi ponad wszechżycie — czuł się wniebowziętym...

---

Ochłonął...

Zerwał się z ławki i szedł ku domowi.

Było już późno, latarnie pogaszono, szedł w pomroku rozłożystej alei kasztanów, jak w sennych czarach. Szedł, nie wiedząc prawie, że idzie.

Wściekła tęsknota żłobiła mu głębokie bruzdy w duszy, ogień miał w głowie i piersiach.

A przecież miał ją w sobie, niósł słońce, wszechświat, niósł ją w swej piersi — i czemuż tęsknił?

Zaśmiał się cicho.

Twarz jej tak dziwnie jasna i przeźrocza, oczy jej tak wielkie i przestraszone, kształty jej tak wiotkie, jak młoda trzcina na wiosnę.

Gorączka go trawiła.

Przyszedł do domu i padł wyczerpany na łożko.

---

Noc stężała w powietrzu — noc skamieniała, żadne światło już nie będzie mogło przedrzeć się przez olbrzymie sklepienie nocy, kamiennymi złomami nad ziemią roztęczone...

W ciemnej nocy krzyczały rozpacznie wielkie kwiaty za słońcem, gięły się w kurczach bólu, prostowały się, strzelając gwałtownie w górę, jak w konwulsyach tężca, słaniały się po ziemi, jakby się w nią wgrzebać chciały, a całe pola białych narcyzów patrzały w bezmyślnej rozpaczy, krwawemi oczyma przed siebie.

Białe narcyzy, z oczyma, co słupem stanęły i krwią zachodziły, krwią, co zwolna ściekała po smukłych łodygach...

A ponad tą wielką białą, krwawemi łzami zaszłą równiną, wybiegły dwie wiotkie, wyniosłe łodygi; dwie białe gwiazdy zakołysały się w powietrzu, pnąc się coraz wyżej, wdarły się rozkoszą nadziei w ciemne gąszcze nocy, stuliły główki, a oczy ich wpatrzały się w milczeniu świętych przeczuć w siebie.

Ale naraz wypełzał złoty wąż w górę, czołgał się

zwolna wzdłuż wiotkich trzcin białych narcyzów, okręcił się wokół pierścieniem, oplótł je złotą błyskawicą swego ciała, wyprężał się i kurczył, piął się coraz wyżej, a z maleńkiego pyszczka wybiegły dwa długie żądła, dwoje rubinowych oczu zachichotało migocącym blaskiem, — już sięgał białych listków kwiatu, już wpijał swe żądło w milczące oczy narcyzów...

Zerwał się z łóżka.

Cóż to? Więc to nie był sen?

Na biórku tkwiły w wazonie dwie długie łodygi narcyzów z dwoma ogromnymi kwiatami. Wokół nich wił się wąż w dziwnie pokurczonych splotach, wyprężywszy wysoko gibką szyję z małym łebkiem, w którym lśniła głęboko osadzona para ócz rubinowych.

Podszedł do biórka zdziwiony — dwa ogromne kwiaty dyszały jakimś namiętnym żarem, jakąś rozkoszną pieszczotą w silnym oplocie bronzowego węża.

Wyjął łodygi z bronzowych pierścieni, wziął chłodny metal węża do ręki, przyciskał go do rozpalonych skroni, głaskał go, przesuwał wzdłuż ciała, położył na biórku, patrzał długo na niego, — znowu go brał do ręki.

Zdawało mu się, że to żywy wąż został wrzucony do masy jakiegoś roztopionego metalu, i tam stężał w skurczach śmiertelnych.

Spojrzał na narcyzy: oczy ich nieruchomo w niego wlepione z jakimś wielkim smutkiem, z jakąś nieprzebraną tęsknotą. Czuł, że te milczące oczy żyją, że wdrażają się wielkiem pytaniem w jego oczy, szukają odpowiedzi, pragną, by do nich przemówił, by je do serca przytulił i pieścił.

Czyżby się sama zaklęła w kwiaty i w tego węża?

Przesyciła je swym oddechem, rozpieściła tęsknotą swego ciała, upoiła rozkoszą swoich ust?

Całował długo milczące oczy narcyzów; zdawało mu się, że wielkie, ciężkie powieki zamykają się w drżącem pragnieniu, rozkoszą obezwładniona głowa w tył się przechyla, rozpalone usta się otwierają, szukają jego ust, wpijają się nagle z gwałtowną żądzą i ssą krew z jego warg.

Bronzowy wąż w jego rękach począł nabierać życia i prężyć się; a naraz oślizgł mu się wzdłuż piersi, oplótł go lubieżnem, drgającem ciepłem jej ciała, tarł się o niego, znowu go obejmował i ściągał, ściągał stalową obręczą. — Ale nie! — to już nie był wąż, to była ona — czuł jak się pierścienie jej członków rozluźniały i znowu ściągały w bolesnych uściskach; wzdłuż jego ciała drgało jej dyszące pragnienie, gdyby krzyczące błyskawice w poświście burzy, jej serce biło mu o piersi ostremi skrzydły, usta jej wgryzły się w jego szyję i w coraz namiętniejszych splotach, uściskach wtuliła, wwinęła go w siebie...

---

Porwał się i patrzył błędnie w mrok pokoju.

Jestem chory, pomyślał, — ściskał kurczowo bronzowego węża i gryzł łodygi narcyzów.

Nie wiedział dokładnie, co się z nim dzieje.

Czuł tylko znowu olbrzymią posowę nocy, roztęczonej nad nim w kształt kamiennych sklepień gotyckich.

Było ciemno; tylko dwie wielkie, białe gwiazdy narcyzów słaniały się na wiotkich trzcinach łodyg wysoko ponad równiną białego, łzami zaszłego kwiecia.

Darł się przez gąszcze potwornych roślin, co, zda się, wszelki jad ziemi, wszelką truciznę wszechświata w siebie wchłonęły.

Błądził po mokrych zaroślach, wśród krzewów słodkogorza, co fioletowym kirem żałoby oplątały jego nogi, szedł wzdłuż płotów wilczojagody, co kwitły złowrogą czernią lśniących gron; łodygi szaleju wykrzykiwały brudnem, popielatem kwieciem upiorne czary; a po przydrożach straszyły go bielmem zaszłe oczy dziędzierżawy; biły go po twarzy wysokie byliny blekotu; oślepiały go jaskry, co się paliły płomiennymi językami ogniów halnych.

Szedł przez tajemniczą a lubieżną senność wielkich pól maku; przedarł się przez białą równinę kwiecia narcyzów; słyszał, jak w głos zaśmiały się dwie gwiazdy, co się kołysały na wysokich prętach; zabłysły mu w oczach dwa rubiny złotego węża, co te dwie łodygi oplótł namiętnym pierścieniem jej ciała, — aż naraz stanął przerażony:

Zewsząd ścieśniała się przestrzeń, z odległych dali biegła ku niemu, zwężała się i ścieśniała wokół niego, okoliła go murem i ujrzał się w jakiejś tajemniczej sali, coś w kształt świątyń eleuzyńskich, w których się odbywały dziwne misterya; coś w kształt hali, w której półbogi germańskich północy miewały w świetle zorz polarnych swe tajne narady; to znowu zdawało mu się, że jest w podziemnych pieczarach Indyj, w których kapłani Thuggów do oczu ofiar przysadzają jadowite żmije; to znowu widział się w gotyckiej kaplicy książęcej warowni, gdzie świętokradzcy mnisi odbywali wśród najdzikszych orgij obłąkanych potępieńców na ciele nagiej kobiety swe sabathy szatańskie.

Patrzał zdumiony.

Z sklepienia wisiała lampa wysadzana rubinami, brylantami, szmaragdami, wielkimi jak pięść chryzolitami — a poprzez czystą wodę drogich kamieni lała się toń czarodziejskiego światła, światła dogorywających rubinowych słońc, zlanego z zieloną rozwieją miliardów błędnych ogników.

I w strasznych czarach światła, — które może kiedyś ziemię w twórczy szał smagało, kiedy jeszcze kipiała odmętami warów i ogni, — ujrzał wzdłuż ścian miast gzemsu dziwny ornament.

Jedna i ta sama głowa kobieca z coraz to innym wyrazem, innym smutkiem, inną namiętnością, innem pragnieniem.

To jej głowa i cała nieskończona pieśń jej duszy, myślał zdumiony.

Widział ją czystą i niewinną, jak dziecko z oczyma białej tuberozy — cichą, jak odblask gwiazd w czarnej toni — łagodną jak echo fletni pastuszych w nocach wiosennych, odurzonych zapachem kwiecia bzowego —

to znowu smutną i rozbolałą jak kwiat czarnej róży w duszącym upale sierpniowej południcy; tylko czasami szarpnie się wielki krzyk z duszy jak dźwięk dzikiego akordu, co przerywa rozpaczną zadumę trawy kołyszącej się na pustych stepach —

to znowu żądną i spragnioną, jak pęk kwiecia makowego, słaniającą się w odurzeniach oddania się; jakgdyby przez senne, rozkoszne marzenie przewił się wąż gorących, namiętnych tonów, dyszących żądzą i żarem pragnienia.

Raz widział jej oczy zaszłe mgłą upojenia, to znowu rozpustne i wyzywające, jakby były spowite czarem indyjskich konopi. — Na jednej twarzy wi-

dział usta jej jak kwiecie róży mistycznej — inne rozpasały się krzykiem otwartego kielicha orchidei, — znowu inne, dumne i pyszne, z wargami wydętemi w kształt kwiatu jasnoty lub wyźlinu.

Cały nieskończony szereg główek — jednej i tej samej główki — we wszystkich wyrazach i przemianach: cała nieskończona skala smutku, od pierwszego drgnienia tęsknoty aż w głębie odmętnych rozpaczy — cała nieskończona pieśń miłości, od pierwszego pędu serca, co rumieńcem twarz zalewa, poprzez wszelkie tęsknoty i nieświadome pragnienia aż w czelustne piekło rozpasanych demonów żądz — cała nieskończona burza obłędu, od pierwszej myśli, co na podobieństwo jadowitego pająka wszystkie inne usidla, aż w czarne odmęty, gdzie się dusza gubi i w drobne skorupy rozbija...

A nagle poczęły się te wszystkie głowy wyłaniać: widział ramiona wyciągnięte ku niemu, postacie schodziły, zlewały się, wyskakiwały ze ścian, rzucały się na niego; piekielny śmiech, chichot, płacz, jęk, przerażające krzyki i skowyczące wycie rozległo się po sali, odbiło się tysiącznem echem po ścianach połamanych w tysiące kątów; oplotły go lubieżne ciała; zawisły mu na szyi, stłaczały go wdół, porywały go w ramiona i podrzucały w górę; rozpasała się wokół straszna orgia nagich członków, potwornych splotów, dzikich podrywów, — lecz w tej samej chwili rozwiał się majak szatański...

Ujrzał ją w krzyż rozpiętą na ścianie w całym przepychu jej piękności; ramiona jej owiły miast naramienników złote węże, złote węże oplatały kostki nóg, a biodra opasała złota przepaska, zamknięta na łonie kwieciem lotosu, wysadzonem drogim kamieniem.

Patrzała na niego przymrużonemi oczyma; z poza długich rzęs wybiegały lubieżne węże kuszeń i wabień; kołysała się z rozkoszną pieszczotą na krzyżu i szeptała gorącym głosem:

Pomnisz, jak mnie ojciec mój przywlókł przed twój tron nagą, pełną wstydu i lęku?

Pomnisz, gdyś siedział na tronie drżący, spragniony i wyciągałeś ku mnie twe stęsknione ramiona?

Byłam czysta jak kwiat lotosu, kiedy Boga rodził: tyś rozbił świętą lampę mej duszy, rozlałeś w moje żyły zamknięty żar, przepaliłeś mi duszę aż do dna jadem żądzy i namiętności, a potem ukrzyżować kazałeś.

Głos jej stał się naraz dziki i namiętny:

Pomnisz, kiedy rzezańcy twoi wbijali złote gwoździe w białe lilie mych ramion — krew tryskała promieniem, a jam ci urągała, plułam przekleństwa w twoją twarz, wgryzłam jad zemsty w twoją duszę...

Chodź, chodź, biedny niewolniku krwi, którąś w szał rozsmagał w objęciach moich — chodź w piekło i rozpustę, którą w sobie rozpasałam — ukrzyżowałeś mnie, a tarzasz się przedemną...

Przyczołgaj się do moich stóp, bliżej — bliżej!

Czołgał się ku niej, chwycił oburącz jej nogi, porwał ją w wściekły uścisk...

I rozległ się krzyk:

Asztaroth! Asztaroth! Matko piekła i rozpusty...

Lecz w tej samej chwili przewiał wzdłuż jego czoła świetlany, nieskończenie czysty oddech liliowej dłoni...

---

Bał się otworzyć oczy, bał się, że to znowu sen — tylko już anielski — sen wniebowzięcia...

Zniknęły mary i szatańskie zmory; czuł tylko, jak dłoń jej głaskała czoło jego, jak raz po raz zamykała mu cichemi usty otwierające się oczy, a jedwab jej włosów spływał pieszczącą falą po jego piersiach.

Czuł jej rękę w swej dłoni, czuł dwie gwiazdy jej oczu, rozlewające się świętą łaską w jego sercu...

To ta — tak, to ta cicha, ta smutna, ta jasna, która go teraz owiała — to ta, co mu dała kwiaty...

Było już późno w południe, kiedy zmęczony, strawiony gorączką, zwlókł się z łóżka.

W uścisku bronzowego węża konały dwie łodygi narcyzów.

Dlaczego unika mnie, czemu ucieka, kryje się przedemną? myślał zrozpaczony.

Myśli się plątały, tysiąc domysłów skrzyżowało się w jego mózgu, tysiąc postanowień, tysiąc błyskawic prześlizgło się przez duszę, ale w końcu padł wyczerpany na krzesło: nic nie rozumiał.

I przemyślał wszystkie męki, wszystkie szały i obłędy, jakie przecierpiał od czasu, jak mu dała te kwiaty...

Ból się w nim wezbrał i jakaś dzika, nagła nienawiść.

Na krzyż ją wbić każę, na krzyż, powtarzał z błędnym uśmiechem.

Zamknął oczy i z rozkoszą pastwił się przedśmiertną męką swej niewolnicy:

W olbrzymim dziedzińcu pałacowym, gdzieś w Ekbatanie.

Wokół stali jego wojownicy, w ciężkich srebrnych hełmach; mieniły się w słońcu złote łuski ich pancerzy oślepiającym blaskiem, a oczy ich bielały złowrogim błyskiem krwiożerczych zwierząt...

Naraz zarykły złote trąby trzykrotnym strasznym jękiem: z wrót pałacu wlekli rzezańcy biedną niewolnicę.

Była obłąkana z przerażenia; z ust ściekał promień krwi, wywróciła się w znak; czarni niewolnicy pochwycili ją za ręce i wlekli poprzez rozpalone płyty do stóp krzyża...

Król zamknął oczy i skinął.

Pochwycili ją w ramiona, podrzucili na hebanowe drzewo krzyża; kat ujął jej ręce, podtrzymano ją w pasie, rozległ się stukot młota...

Lecz w tej chwili ryknął król z bólu, jak rozszalałe zwierzę.

Zerwał ją z krzyża, tulił jak dziecko w swych ramionach, po szatach jego ściekała krew, całował jej rany — szalał w rozpaczy; rzezańców, co śmieli jej dotknąć, kazał w ćwierci rozrywać, zrobił z niej bóstwo i kazał jej składać ofiary...

---

Boże! jak ją kochał, tę swoją niewolnicę, on biedny niewolnik...

I długoż miał się tak męczyć?

Nagle postanowił wyrzucić ją z serca, nigdy już o niej nie myśleć, wyrzucić kwiaty i wstążkę i węża, by mu jej nie przypominały.

Ale gdy nadszedł mrok, pobiegł przed dom, w którym mu wczoraj znikła i czekał...

Ujrzał ją wreszcie, jak wyszła z bramy, — obejrzała się dookoła — nie zobaczyła go.

Szedł za nią.

Skradał się, by jej nie spłoszyć, by mu nagle z oczu nie zniknęła, zaledwie śmiał oddychać — szła

szybko, jakby czuła, że ktoś za nią idzie — coraz szybciej; wśród mrocznej alei rozkwitłych akacyj migotała jej jasna suknia — był już pewien, że ją z oczu straci i naraz podbiegł ku niej, stanął naprzeciw niej, wpół nieprzytomny, nie wiedząc, co robi...

Stanęła przestraszona i patrzała na niego niemym wzrokiem...

— Bałem się, że panią z oczu stracę — szepnął wreszcie — biegłaś pani tak szybko...

Odetchnął z trudnością i zamilkł.

Szli wolno obok siebie.

Odzyskał równowagę:

— Nie wiem, jakim sposobem odważyłem zbliżyć się do pani, zastąpić jej drogę, ale w chwili, kiedy to zrobiłem, nie wiedziałem, co się ze mną działo...

Zamilkł na chwilę, i znowu rozpoczął mówić szybko, urywanie, jakby chciał odrazu wszystko sobie z serca zrzucić:

— Pani nie wie, jak ja pani szukałem. Dniami całymi włóczyłem się po wszystkich ulicach, wszystkich kościołach, po parkach i alejach, by pochwycić tylko jedno spojrzenie pani — najdalszy przebłysk, najtajniejszy oddech pani. — Nie znałem cię, nie widziałem cię nigdy przedtem, ale wiedziałem, że cię wśród miliona kobiet wyszukam. Ta, która mi kwiaty dała, która mi swe oczy w duszę wcałowała, tylko tak, li tylko tak wyglądać musiała, jak pani.

Szła coraz szybciej, a on błagał, szeptał namiętnie:

— Jak ja cię kocham, jasna, jedyna moja. Jesteś ziemią, moją pieśnią, jesteś wszystkiem, co we mnie

piękne i czyste i głębokie... Mam cię w sobie jak święte słońce; w odmętach mej duszy płoniesz jak odbicie potężnej gwiazdy na burzy oceanu; twoje oczy jak dwie gwiazdy tuberozy, a co noc oplatasz wiotką wikliną twych gibkich członków ciało moje.

Stanęła drżąca, oddychała szybko, spuściła głowę głęboko na piersi.

— Ile razy miałem cię w mych ramionach, ile razy pieściłem twoją główkę, ile razy całowałem twoje oczy, podrzucałem cię na piersi i piłem nieziemską rozkosz z ust twoich!...

Schwycił ją za rękę. Drgała jak serce, świeżo z piersi wyrwane.

— Powiedz mi choć słowo, jedno słowo. Ja wiem, ty mnie kochasz, musisz mnie kochać, bo kto się tak zaklął w kwiaty, którem kochał, całował, tulił i pieścił, ten przecież musi kochać.

A ty wiedziałaś, wiedziałaś dobrze, że dając mi kwiaty, dajesz mi siebie.

Zamilkł, patrzał na nią błagalnie, pełen lęku i smutku.

Nic nie odpowiedziała, wysunęła zwolna swą rękę z jego dłoni i szła cichym krokiem naprzód.

— Powiedz mi choć jedno słowo, błagał. Jeżeli chcesz, nigdy już słowa do ciebie nie przemówię; pozwól tylko, że zdala będę mógł iść za tobą, że raz po raz pochwycę twe jedno spojrzenie, że postać twa, muzyka twych ruchów, twych linij i kształtów spłynie bezgraniczną rozkoszą wzdłuż moich nerwów.

Pozwól, pozwól — ty nie wiesz, jak się męczę, jakie błędne sny mnie w szał wprowadzają; dziś w nocy zdawało mi się, że... że... wikłał się i plątał, męczył się niesłychanie, wyrzucał słowa z trudem, gubił się, zapominał, o czem jej chciał mówić:

— Powiedz mi przynajmniej, że mam odejść; jedno słowo mi powiedz...

Po jej twarzy spływały duże łzy, ale ani jedno drgnięcie twarzy, ani jeden ruch nie zdradzał, że płacze. Płakała cicho krwią serca, płakała, jak płacze biała mewa, gdy się zdaleka zabłąka i drogi z powrotem znaleść nie może.

Czuł, że świat się w nim zapada. Jakiś straszny beznadziejny smutek zlewał się w głębie jego duszy, coraz silniej, coraz głębiej — szedł obok niej jak w chwili ostatniej zagłady, kiedy już słońce na zawsze zagasa, a wieczna noc roztęcza się nad ziemią w kształt ciemnych, wilgotnych sklepień gotyckich.

Szedł, a zdawało mu się, że idzie na kraniec świata, by się przeprawić na tajny brzeg nieznanych krain, gajów śmierci, uroczysk strasznej, skamieniałej ciszy, zastygłego powietrza, w którem zawisły wielkie, nieruchome ptaki bez życia.

Coś z niego przelewało się w nią, może uczuła ten sam bezmierny smutek, to samo przeczucie wiecznej ciszy śmierci, lęk przebiegł dreszczem przez jej ciało, wsunęła swe ramię w jego, przytuliła się lekko do niego.

— Boję się — szepnęła cicho.

Patrzeli chwilę przerażeni na siebie. Oddech zaparł się im w piersiach w oczekiwaniu czegoś strasznego.

I w tej samej chwili przewaliła się olbrzymią falą cała jego Golgota ostatnich dni, cała męka, jaką przeżył. Jakiś dziki gniew rozpalił mu się wściekłem słońcem w głowie, schwycił ją wpół nieprzytomny za ręce i szeptał wściekłym głosem:

— Każę cię na krzyż wbić! Na krzyż!

Stała chwilę błędna z przestrachu, drgała gwałtownie, — wyrwała się naraz z żelaznych kleszczy jego rąk i biegła szalonym pędem przed siebie.

Patrzał za nią, ale cały świat zakołował mu w oczach, prysnęły błyskawice, jakieś słońce zaczęło się łamać, trzeszczeć...

I nagle, jakby go ktoś kosą podciął, padł bez jęku na ziemię.

---

Minęło wiele dni i nocy.

Zamknął się. Nikogo nie dopuszczał do siebie.

Bał się wyjść na ulicę, bo wiedział, że ją spotka, czuł, że go szuka, że błądzi całymi dniami i szuka go, jak on jej szukał.

A gdy wyszedł o zmroku, to skradał się po cichu wzdłuż domów, wzdłuż drzew ciemnych alei. Bał się każdego szelestu; każdy odgłos kroków go przerażał, bo wszystko, co go otaczało, cały świat wspomnień i myśli, cały świat po za nim stał się nią.

Nie wiedział, dlaczego się jej boi. Czuł tylko, że gdy ją spotka, stanie się coś strasznego.

A nigdy jeszcze tak za nią nie tęsknił; nigdy tak nie szalał.

Kiedy świat głuchł w bezmiernej ciszy; z gwiazd wykwitała cicha łaska światła, a między liściem przekwitłych kasztanów krwawił się bolesny smutek miesiąca, — wtedy, ach, wtedy wyciągał ku niej swe ręce w rozpacznym krzyku, wił się na ziemi w dzikim kurczu, czołgał się ku niej, bo zdawało mu się, że ściany się rozstąpić muszą, a owiana wonią wszystkich kwiatów, jakie w swych snach przeżył, spowita nieziemskim czarem niebieskiego przepychu, spłynie ku niemu i obejmie w świetliste dłonie jego rozpalone skronie, przytuli, przypieści go do swego łona.

Albo nie! Raczej spłynie na niego niewidzialną łaską ciszy i ukojenia, rozleje się w nim zapomnieniem i duszę mu w ciche rozkosze białych snów rozśpiewa.

Albo też najdzie go słodkiem echem dalekich dzwonów, co mu w duszy zielone kobierce jego rodzinnych łanów rozścielą, serce mu upoją odblaskiem dziecięcych wspomnień, kiedy jeszcze na łonie matki śnił o cudach, co się w dziewiczej piersi mieszczą, marzył o pieśni, jaką się rodzinne jezioro w północne czary kołysze i widział ptaki, co nad tajemniczymi grobów kopcami z szeroko rozwartemi skrzydły w powietrzu zawisły i widział ogrody pełne czarnych drzew, z których wykwitały olbrzymie kiście złotego kwiecia.

Tęsknił, krzyczał za nią i bał się jej.

Raz zdawało mu się, że widzi ją przez okno. Przytuliła twarz do szyby i patrzała na niego oczyma, jakiemi dogorywają dwie bliźnie gwiazdy.

To był ból, co już nie miał ni mocy, ni krzyku, ni jęku. Tylko już dogasająca, tląca się jeszcze głownia na spopielonem ognisku. Tylko już ostatnie pryskanie gromnicznego światła przy katafalku, z którego trumnę do grobu zdjęto. Tylko już ostatni poświst wiatru, co opadł na ziemię i złamany włóczy się wśród nagich ściernisk jesiennych pól.

Patrzał przerażony, cofał się w tył z oczyma nieruchomie wlepionemi w tę przeźroczą twarz i te dwie gasnące gwiazdy; oparł się, drżąc, o ścianę; biała płachta jakiegoś złowrogiego widma przewiała mu przed oczyma; spojrzenie, to straszne spojrzenie tam, po za oknem wsiąkło gryzącym, wściekłym bólem w jego żyły, — naraz zniknęło wszystko

i z bezmiernym lękiem patrzał w ciemną noc pozamieścia.

To znowu czuł ją tuż po za sobą, kiedy siedział przy biórku i próbował pracować.

Wiedział, że gdy się obróci, zaprzepaści się w głębiach tych strasznych, bolesnych oczu, a może ssący ich ogień wypali mu źrenice, może go pochwycą jakieś upiorne kleszcze i zduszą go, stłoczą na ziemię — potworne widmo klęknie na jego piersiach i zmusi go patrzeć w głębokie jamy oczne, w których goreje piekielny żar.

I siedział nieruchomie, pełen dzikiego przestrachu, włosy jeżyły mu się na głowie, bał się ruszyć, bał się oddychać, krzyknąć, bo wiedział, że najdrobniejszy ruch zabić go może...

Tak minęły dnie całe i noce całe...

---

Aż wreszcie ból się przełamał — i w duszy swej zmógł swą straszną tęsknotę.

Musiał tylko jeszcze powiedzieć jej coś na pożegnanie, wyśpiewać ostatnie słowo...

---

Kiedy wchodził na estradę, nie widział nikogo; czuł tylko oddech tysiącznego tłumu, jak się olbrzymią falą przelewał po sali; w oczach mu rozkwitło zielonym blaskiem światło olbrzymich pająków; mózg się na chwilę rozmajaczył jakąś ciemną myślą o niej — chciał spojrzeć tam, gdzie wiedział, że siedzi i patrzy na niego, ale naraz świat cały znikł mu z myśli i stała się ogromna cisza w duszy jego.

Cisza przedstworzenia...

Z pod palców jego wybuchła nieludzka pieśń:

Był tym, co siedzi na Golgocie u stóp całej ludzkości, na krzyżu rozciągniętej. Całe wieki męczarń i bólu, cała wieczność strasznych cierpień, krzyków za odkupieniem, rozpacznych przekleństw i potępieńczego wycia za chwilką szczęścią przewaliła się huraganem błyskawic przez jego duszę. Cały żywot wszechistnienia rozpasał się piekielną męką w jego sercu — i siedzi u stóp krzyża i patrzy w czarną noc, a nad nim czarnym kirem zakryte słońce.

Był tym, co wściekłą pięścią wali o wrota niebieskie, klnie Przeznaczeniu, co mu żyć kazało, kalać się w błocie i śmieciach, opluwać się z wstrętem i wzgardą, tarzać się w ohydnem piekle wiecznie głodnych żądz. Wściekła niemoc zemsty rozszalała się w jego głowie, a z zachrypłego gardła rwie się dziki, straszny krzyk: Gdzież koniec, a gdzież początek — gdzież przyczyna i gdzież cel?

Był tym, co z błędną gwiazdą na czole, a z krwawą pochodnią w dłoni prowadzi lękliwy, przerażony tłum za sobą. Poprzez gąszcze ciemnych nocy przedziera się wśród wszystkich strachów i dziwów do podziemi, gdzie są ukryte nieznane, wyśnione, przeczute skarby. Idzie naprzód dumnie i rozpacznie, prowadzi za sobą ciemny tłum, a w sercu swem pyta się: Ażali je znajdę? Wszak je im przyrzekłem, jak długo jeszcze błądzić będę?

I w tej chwili był Wszechistotą. Potężny Bóg, co się rozbił w miliardy gwiazd, rozczłonkował się w miliardach stworzeń, rozłamał się na części i cząstki, zlał się w nim od nowa, zespolił się, stał się Jednym: nieskończonością uczuć, nieskończonością stworzeń i ziem.

Był Bogiem, olbrzymie słońce niósł w swej piersi, szedł, płynął w górę, coraz wyżej, stracił poczucie

swej wszechmocy, woli, istnienia — białe skrzydła rozpostarł od jednego bieguna do drugiego i w godzinie zmierzchu zawisł ciężką zadumą nad światem.

Złamał się gniew i ból życia — skrzepło cierpienie i tęsknota, bo w godzinie zmierzchu spała ziemia.

A tam w dole kołyszą się zboża w sennem upojeniu, a tam w dole rozmajaczyły się puste ugory, a tam w dole straszą po ciemnych bagniskach błędne ogniki, — ach — tam w dole rozesłało się niebo w czarnych uroczyskach jezior, a z ich dna wykwitują blade gwiazdy i ścielą po szklistej powierzchni cichy urok zatopionych kościołów...

Zatęsknił — i w tej chwili stopił się Bóg we wieczności.

I znowu szedł — on mąż, z ziemi porodzony, szedł z wielką wiarą, że niesie odkupienie, a wiedział w bezmiernym smutku, że go ukrzyżować każą... Wlókł się zmęczony z pokrwawionemi nogami, krwawym potem zroszony, z męczeńską Gehenną w swej piersi...

Czuł, że dźwiga coś w swoich ramionach, niesie ostrożnie i z wielkim trudem — ale nie widział nikogo.

Naraz wystrzeliła w górę wiotka, słaniająca się łodyga tuberozy, z dwiema białemi gwiazdami.

I rozległ się krzyk: Ona!

Tuliła się do niego, oplotła go, wwinęła się w niego jakąś łkającą prośbą, błagalnem, a pełnem lęku spojrzeniem.

Ale on był straszny i nieubłagany.

Szedł przez czarne odmęty, przez wściekłe i spienione bałwany kłębiących się chmur, szedł przed tron potężnego Króla życia i śmierci.

Czuła zagładę.

W rozpacznej walce szamotała się z nim, gryzła

go, szarpała ostrymi szponami palców, ale nie czuł bólu, szedł zaciekły, straszny — już wyłaniała się potworna głowa ojca rozpaczy i rozpusty, już miał ją rzucić mu pod nogi w ofierze, ale na raz zwinęła się jak wąż, oślizgła się wzdłuż jego ciała, zachichotały rubinowe oczy, zakołysały się nagłym śmiechem dwie łodygi narcyzów, prysły ciemności...

Zmrok zaległ w pokoju.

Coś jakby szelest sukni, jakby przebłysk dwojga żarem dyszących oczu.

Zerwał się przerażony.

Nie to nie był sen. To ona — ona krwią, ciałem...

Stała oparta o ścianę i oddychała głęboko. Patrzeli na siebie niemi, przestraszeni...

— Przyszłam do ciebie... — szepnęła. — Przyszłam — tęsknota i pragnienie strawiły mnie.

I osunęła się w jego ramiona.

---

O, upojeń godzina — godzina cudu, kiedy dwie dusze w jedną się zleją, dwa ciała w jedno się splotą...

— Lękasz się grzechu? — pytał gorącym szeptem.

— Kocham grzech, kocham piekło — z Tobą — z Tobą...

I obwisła mu w ramionach w oddaniu się bez woli, bez pamięci...

---

I mówił do niej:

— Nie wiedziałem, co to szczęście, teraz wiem. Z Tobą poznałem szczęście i wielką, nieprzebraną rozkosz.

— Dopełniła się godzina cudu, zaśmiała się błędnym, cichym uśmiechem.

— Nigdy jeszcze nie zdołałem stopić w sobie kobiety, szeptał namiętnie — Ty jedyna krążysz w moich żyłach, gdyby złoty wir pyłu słonecznego.

— Godzina cudu, godzina cudu! powtarzała cicho, bijącym szeptem, bezustannie.

Cisza.

— Czemu płaczesz? zerwał się przerażony.

Głaskała jego włosy, tuliła jego twarz w swych drobnych dłoniach dziecka, przyciskała się coraz gwałtowniej do niego, schwyciła oburącz jego szyję, znowu błądziły jej białe palce w jego włosach...

— Czemu płaczesz?

— Z rozkoszy, załkała.

Pieścił, tulił, całował, szeptał bezustannie, bezwiednie te same słowa, powtarzał te same zdania, kołysał ją i kołysał tak jak się roztkwilone dziecko kołysze w swych ramionach:

Uspokoiła się.

Przytulili się do siebie jak dwoje dzieci się do siebie tuli pod stogiem świeżego siana w chwili, kiedy nad niemi szaleje wściekła burza, a niebo rzuca czerwony posiew gęstych piorunów na ziemię.

— Czy dobrze ci tak? spytał.

— Mój Ty jasny, mój Ty jedyny, mój, mój, mój...

— Tak Twój, tylko Twój...

— Teraz już zawsze pozostaniemy razem, pytał z lękiem.

Nic nie odpowiedziała, tylko długie, palące dreszcze przebiegały jej ciało...

— Pójdę na krzyż — na krzyż, szepnęła za chwilę. Już we mnie wieczność zbiegła w przepastne

odmęty. W godzinie cudu spłynęło całe moje życie... Nie pytaj — weź, przytul, zabij — zabij!

Milczeli długo.

I znowu mówił do niej:

— Pamiętasz, kiedym Cię niósł w strasznych burzach poprzez dziewicze lasy? Niebo się nad nami zarywało — wokół nas tańczyły zielone obręcze błyskawic, olbrzymie gałęzie kokosów i palm spadały z trzaskiem i hukiem zarywających się sklepień, zawalały nam piętrzącym się murem drogę; raz poraz rozszczepił piorun tysiącletnie drzewo, tak że szczapy słaniały się na wsze strony, rozpadały się wokół pnia, gdyby olbrzymie liście opadającego kwiatu. Orkan podrzucał nas, ciskał o olbrzymie pnie, walił na ziemię, a jam się zrywał i szedł i szedł, padał, czołgał się na klęczkach, wdrapywał się po stogach połamanych gałęzi, alem szedł, bom Cię niósł na mych rękach, a burza mego pragnienia była silniejsza od wszystkich burz lasów dziewiczych.

Nic nie odpowiedziała.

— Pamiętasz, kiedym z Tobą uciekał poprzez palące się stepy? Wicher ognia szalał po za nami, piętrzył się strasznymi filarami w niebo, przewalał się rozwścieczonym golfem po stepie, a jam biegł z Tobą, biegł, rozszalały, nieludzkiem pędem; byłem silniejszy od ognia, nie dobiegł nas, bom miał Ciebie w moich ramionach, a silniejszy ogień od tego, co się na stepie rozszalał krążył w moich żyłach.

Nic nie odpowiedziała.

— Pamiętasz, kiedy łódź naszą porwał obłąkany Malstrom? Jednym kręgiem wiru stoczył ją na samo dno, wyrzucił gdyby kawałek drewna w górę, znowu pochwycił w swoją rozpasaną, rozkołowaną obręcz,

i znowu zleciała łódź błyskawicznym lotem spadającej gwiazdy w przepastne leje; znowu, wystrzeliła w górę, gdyby kamień wyrzucony z potężnej procy; i tak potrzykroć razy wzlatywałem, potrzykroć razy opadałem znowu na rozpiętrzonych wichurach wściekłych odmętów wiru, aż wreszcie łódź nasza opadła na spokojniejsze wody, byłem silniejszy od malstromu, bom czuł, jak rękami oplotłaś moje ciało, czułem Twoją głowę na mej piersi, a sam miałem wścieklejszy malstrom od wszystkich innych malstromów: Ciebie — Ciebie — moją miłość ku Tobie.

Patrz! jam jest syn z ziemi porodzony, jestem odwieczny Adam; mam w sercu burzę, silniejszą od burz, co łamią w lasach dziewiczych najpotężniejsze pnie gdyby suche trzciny — w żyłach mam ogień, potężniejszy od tego, co błyskawicą bezprzestrzenne stepy morzem ognia zalewa — w duszy przepastniejszy malstrom od tego, co największy okręt w miazgę druzgocze i okruchy jego na dnie oceanów rozsiewa:

— Kochasz mnie?

— Jesteś Silny, jesteś Mocny, jesteś Przepotężny...

— To jeszcze nie to, czego od Ciebie żądam. Więc słuchaj:

Jestem tym, co w każdej chwili może zostać królem, rzucić u stóp swych wszystkie narody, zawładnąć nad całą ziemią, zapanować nad miliardem niewolników; każdej chwili mogę Cię kazać na krzyż wbić i znowu moją wszechpotęgą do życia powołać —

— jestem tym, co teraz jeszcze może się kazać obwołać synem słońca; w świętych gajach pobudują mi potężne świątnice i będą mi ofiary składać. —

— jestem tym, który przed Twe oczy może wywołać wszystkie cuda i raje wszystkich czasów i ziemi.

— jestem tym, który przeżył wszystkie cierpienia, bóle i rozkosze całej ludzkości, i ją od nowa odkupić może:

Kochasz mnie?

— Jesteś Bogiem!

— To jeszcze nie to, co od Ciebie posłyszeć pragnę.

Więc słuchaj:

A kiedy Cię namiętnym rzutem mych ramion na piersi podrzucam, a włosy Twe grzywą się najeżą, gibką trzciną Twych nóg me biodra opaszesz, a usty Twojemi wpijesz się w moje —

kiedy krew Ci w piekło rozkoszy smagam, tak że świat Ci z przed oczu zanika i wieczność cała w jednej chwili się stapia, i bezwładna w mojem objęciu opadasz, gdyby gradem smagana łodyga narcyza —

kochasz mnie wtedy?

Zaśmiała się cicho jakąś bezmierną, obłędną rozkoszą, wtuliła się w niego, objęła go rękami, tarła jedwab swych włosów o jego pierś, a potem patrzała mu długo w oczy; spłynęła cała w jego oczach. Zdało mu się, że całe jej ciało wślizgło się przez jego oczy aż na dno jego duszy; obwinęło się gorącym wężem wokół jego serca; wtuliło się w każde włókno jego ciała — nie miał już jej przy sobie, była w nim, rozlała się w nim, stopiła się w jego krwi, długim, przeciągłym dreszczem upojenia zbiegła jego nerwy:

Kocham Cię! Kocham! Kocham!

---

O nocy szałów i błędnych upojeń!

---

---

Czuł przez sen, że się zwolna i cicho obślizguje z jego ramion; przez sen czuł, jak mu krew ubiega, coś z jego duszy spływa —

ale to przez sen...

Czuł, że czyjeś oczy rozkrzyczały się w nim strasznem cierpieniem, że ogniem wichrzących gwiazd rozbłysły, a potem nagle zgasły, — raz jeszcze dalekie łyskanie, a potem wielka cisza ciemności —

ale to przez sen...

Czuł, jak gdyby delikatny, pajęczy jedwab włosów przewionął przez twarz jego, — zamajaczył mu w duszy odgłos lekkich kroków —

ale to przez sen...

Ale naraz uczuł w sobie straszną noc — noc, co stężała, skamieniała w powietrzu; i wiedział, że już światło się nie przedrze przez olbrzymie sklepienie nocy, kamiennymi złomami nad ziemią roztęczone.

Zerwał się przerażony, szukał na około siebie, ale jej nie było.

Na chwilę obezwładniał, stężał w strachu; nogi zadygotały pod nim, ale znowu się porwał, jął ją szukać w błędnem przerażeniu. Pierwsze słońce lało niebieskie strugi światła do pokojów; szukał, szukał — zdawało mu się, że ją widzi przecież, że chwyta ją rękami, że przecież patrzy w jej oczy, że ma jej słodką dłoń

w swych dłoniach, że — o wielki, litościwy Boże — że usta jego spoczęły na jej włosach...

Chwiał się, stawał, to znowu siadał, wreszcie zatoczył się do drugiego pokoju.

Na biurku, na którem wił się miedziany wąż w śmiertelnym skurczu, leżał wielki kwiat czerwonych gwoździków na białym papierze.

Patrzał długo — długo, bezmyślnie na ten papier i na czerwony kwiat, macał palcami, by się przeświadczyć, czy nie śni, wreszcie oprzytomniał.

Czytał:

Idę już, idę, daleko — och, daleko; idę na mękę i na krzyż, na który mnie sam wbiłeś. Godzina cudu się spełniła. Nie szukaj mnie, bo mnie nie znajdziesz. Nie oczekuj mnie, bo napróżno. Idę bez Ciebie, ale nie będę sama: będę z Tobą, z Tobą już na zawsze i będzie mi smutno, smutno bez końca...

Nie czytał dalej, zmiął papier i krwawy, czerwony kwiat gwoździków, chodził błędny po pokoju, a potem padł na fotel, ogłuchł, oślepł na wszystko. Tylko czarne sklepienie nocy nad nim, a w sercu straszny czar upiornej nocy...

---

Pod wieczór oprzytomniał.

Raz jeszcze przeczytał jej list. I wiedział, że godzina cudu się spełniła na zawsze i więcej nie wróci.

Wiedział, że już jej nie odnajdzie.

Wiedział, że już jej oczekiwać nie będzie. Bo wszystko napróżno.

Wiedział to z straszną, przerażającą pewnością, i jakaś wielka, olbrzymia cisza nocy i głębokich ciemności zapanowała w jego sercu.

Czuł w sobie przepotężny, cichy, smutny, a zarazem niezmiernie jasny majestat śmierci.

I z wysoko podniesioną głową wyszedł za miasto.

Szedł za czemś, w czem mu cały świat pogrzebano, całe jego szczęście ukryto, jego przeszłość i przyszłość zakuto.

Szedł za kimś, co go wiódł za sobą, targał, szarpał — szedł chwiejnym krokiem, taczał się, chwilami padał, ale znów się zrywał, bo ktoś go ciągnął za sobą, wlókł po ziemi, — a gdy padał, to wkręcał, wwiercał żelazny pazur w jego włosy i zrywał go ze ziemi.

I znowu szedł wielkim, bolesnym krokiem jak ktoś, co już zastygł w bólu i wielkie, skamieniałe łzy niesie w swem sercu.

Nic już nie widział, słyszał tylko ciężkie stąpanie swych kroków, ciężkie, miarowe, jak gdyby był odzian spiżową zbroją: był wielkim wodzem, a stąpanie swe słyszał tysiąckrotnie, bo za nim szły tysiączne zastępy rycerstwa, w czarną stal okutego.

Szedł na czele po przez ciemne bory, a za nim rycerstwo z pochodniami.

Nie czuł już bólu, żaden smutek nie mącił mu duszy, słyszał tylko ustawicznie jej słowa, które mu dzień przedtem w godzinie cudu powiedziała, kiedy się coraz silniej i namiętniej do jego łona tuliła:

»Bo jestem pod taką gwiazdą urodzona, że ja jedyna mogę położyć koniec Twej królewskiej potędze, bo jestem sama jak zbłąkana gwiazda, co się stopiła w żarach Twego serca...«

Powtarzał bezustannie w swej duszy te słowa. Zdawało się, że słowa te, to jej drobne białe ręce, jej ręce, gdy wtulał w nie swą twarz, i czuł na

niej odbicie tysiącznych linij, co jej dłonie krzyżowały.

Och, czuł jeszcze na swej twarzy to rozkoszne odbicie linij jej dłoni; całe swe życie, swe serce, swą przeszłość i przyszłość wraziły mu w twarz.

Zdawało mu się, że te słowa, to aksamitna płeć jej ciała — Ach, jak spływało rozkosznem drżeniem wzdłuż jego piersi, jak oplatywało białem jaśnieniem jego ciało!

I każde słowo żyło, drgało: czuł je na ręku, jak biło; czuł je w żyłach, jak z strumieniem krwi płynęło; czuł je wokół siebie, jak go gorącą obręczą żywego ognia oblewało.

Stało mu się straszno w duszy; wyrwał mu się głuchy jęk z piersi; rozległ się echem po cichych, ponurych borach i z tysiąca krtani wyrwał się przerażający ból, co ziemią zdawał się wstrząsać:

Matko litości!

Ale nie było nad nim litości.

I znowu przełamał się w nim ból i znowu posłyszał jej słowa, które mu powiedziała w godzinie cudu, kiedy jej oczy się rozwarły i z złowrogim bólem się w duszę mu wpaliły:

»Bo jestem pod taką gwiazdą urodzona, że sama jedyna w przepaść i w piekło wtrącić cię mogę; a sama jestem, jak upadły anioł, któremu dusza się rwie w strzępy za utraconym rajem...«

Stał na szczycie najwyższej góry, a czuł, że za uderzeniem drobnej jej ręki potoczył się i spadał z szczytu na szczyt, z wirchu na wirch, zlatywał po stromych lodowcach, szarpał się w kawały na ostrych rafach skał. W jednej tysiącznej sekundy przelało mu się całe jego życie przez mózg, i staczał się coraz

gwałtowniej w straszną przepaść — bez woli, bez siły, bez ratunku, aż wreszcie uczuł jakąś dziką rozkosz, że tak leci, tak się szarpie, tak się rozrywa.

I czuł jej moc i czuł jej ból i czuł jej niemoc, bo inna siła trąciła jej rękę.

I poraz trzeci słyszał jej głos, ale już w swem sercu: krzyk gorących dłoni, co się w jego włosach wiły, błagalne oploty jej ramion, kiedy jego szyję drgającym uściskiem obejmowały, dyszącą rozpacz jej ciała, gdy się o jego pierś tarło:

»Idę, nie szukaj mnie, nie czekaj na mnie, dopełniła się godzina cudu.«

Pociemniało mu w oczach, nogi się słaniać poczęły, ryknął z bólu jak raniony zwierz i padł na ziemię.

---

Zdawało mu się, że się przebudził.

Jechał na olbrzymim koniu poprzez dzikie stepy. Straszliwy upał pożarł trawy, wyssał rzeki i stawy, nic przed nim i nic po za nim, tylko mściwe, do biała rozpalone słońce, i niebo, co w piekielnych żarach płonęło. Iskrzące się mgły, to powietrze, które go otaczało, a rozpalona ziemia syciła ogniem jego rumaka. Szyszak gorzał na jego głowie, a stalowa zbroja ciało mu przepalała.

Jechał w dzikiej rozpaczy, bo w ramionach jego omdlewała z pragnienia i żaru mściwego słońca ta, którejby własną krew dał do picia.

I coraz wolniej wlókł się olbrzymi rumak, co chwila potykał się, padał na kolana, zrywał się znowu, kark mu obwisł, drżał jak osika, zdawało się, że krok jeszcze, jeszcze jeden wysiłek, a musi się wywrócić.

Ale naraz zarżał radośnie.

Bo otóż wśród tego piekła, tego żaru iskrzących się mgieł i ognia ziemi naraz zielony ruczaj — strumyk.

I już miał ją zesadzić z konia, skropić jej skronie, ale nagle, jakby z ziemi wyrósł, powstał potężny, czarny rycerz, stanął straszny w olbrzymim majestacie, a głos jego rozległ się echem trąby ostatecznej:

Jam jest ten, który kładzie kres wszystkiemu szczęściu i wszelkiej rozkoszy na ziemi.

Jam jest ten, który był ponad wszelkim początkiem i będzie po za wszelki koniec:

Bóg, Szatan, Przeznaczenie!

---

Znikło upiorne widziadło.

Spojrzał w dół — w kotlinie u stóp jego to rozkołysane morze dachów, dyszące świetlistą łuną światła, to miasto — ale to miasto obce, nie jego miasto.

Nie! to nie jego miasto.

I naraz stanęło mu przed oczyma miasto, wyrąbane w dziwacznych skałach, miasto z poplątanymi w sieci kanałami, miasto śmierci i pustki, miasto które jego przodkowie jemu, ostatniemu synowi książęcemu wybudowali.

I znowu patrzał w dół — z straszną pogardą, patrzał w kotlinę na to obce miasto, dyszące łuną gazowego światła.

Ale nie! On kochał to miasto, bo tam się dopełniła godzina cudu.

I znowu uczuł wielkie, święte słońce w swej duszy:

To ona!

I serce jego wezbrało się nieznaną potęgą, wzrósł

w niebo, wyciągnął ramiona i mówił do niej z wielką mocą:

Nie będę Cię szukał, bo mam Cię w sobie, krążysz w moich żyłach, jesteś tchnieniem mej duszy, jesteś prądem mych pragnień, jesteś czarem mych snów, jesteś Mną.

Opadł i poraz wtóry uprzytomnił sobie, On z książąt ostatni, święte miasto, miasto śmierci i pustki, oblane strumieniem, co dzikie skały porozrywał, w granitach sobie wyrył łożysko, by tylko opasać matczynem ramieniem ukochane dziecko; i po raz trzeci spojrzał na to obce miasto, w kotlinie, u stóp swoich.

I mówił do niej i do siebie:

Jesteś słońcem, rozlanem we mnie. Ilekroć razy zechcę, staniesz przedemną i będziesz moją. Ale nie tu. Większy cud się dopełni tam, gdzie moje miasto się piętrzy na dzikich skałach, gdzie święty strumień wichrzy się i pieni głęboko w skalistych bezdnach i w podziemne kanały ciska kaskady zamrożonych stalaktytów światła księżycowego...

Nad jego głową rozbłysła wielka, zielona gwiazda, co go wraz z jego słońcem miała powieść do nowego Syonu, nowego Ierusch-Halaim, do odwiecznego Alkazaru jego przodków — tam, gdzie wśród wiecznych mroków śmierci miał się dopełnić większy cud...

Androgyne

Stał przy oknie Alkazaru i patrzał na dziwne miasto — miasto, które mu ojcowie jego przed tysiącem lat zbudowali.

Była noc księżycowa, a w upiornem świetle straszyły kształty i kontury miasta, co się dziwacznie połamaną płaszczyzną dachów u nóg jego rozścieliło.

Zdawało się, że ziemia się zatrzęsła; gładki, skalisty płaskowyż się połamał i pogiął; olbrzymie skalne złomy się poprzesuwały, wepchnęły się w siebie i popaczyły się.

I rzeczywiście było miasto zbudowane na dziwnie ukształtowanym terenie skalnym.

Był on niby miniaturowy łańcuch gór z tysiącem szczytów, dolin, zrębów, złamów, a na najwyższym szczycie, wybiegającym wysoko głaźnym stokiem, stał pałac książęcy, świetny, odwieczny Alkazar maurytański.

Patrzał długo na miasto u stóp swych. I widział tysiące ostrych, czarnych, dziwnie poplątanych konturów ulic, które olbrzymi teren dachów krajały w dziwaczny rysunek.

Cała ta biała płaszczyzna dachów wyglądała jak święty a tajemniczy ornament, złożony z mistycznych arabesków.

A było to, jakby ręka potężnego maga wyrą-

bała w białej powierzchni potężnej skały święte runy najgłębszych swych tajemnic.

Z wyżyny Alkazaru wyglądało miasto, jak gdyby nie było budowane, ale w kamieniu wydrążone.

Przed jego oczyma rozścielało się miasto gdyby straszny olbrzymi grób katakomb, opanowany Alkazarem, co wyniośle, poważnie i surowo smukłemi wieżycami wystrzelał w niebo ponad miastem.

Dreszcz przeszedł mrowiem przez niego, kiedy pomyślał, że zstąpi do tych katakomb.

Znał wprawdzie wszystkie zaułki, ulice i uliczki, znał ich skręty i sploty, ich krzyżowania i rozstaje; wiedział, że nie mógłby się w tej zawikłanej sieci ulic zagubić, a pomimo tego czuł jakąś tajemną grozę i przestrach, że mógłby się zabłąkać, lata całe błądzić w tym labyryncie i nigdy już z niego nie wyjść.

A nie było nikogo, ktoby mu mógł pokazać drogę, bo miasto było martwe.

---

W bezmiernym smutku patrzał na to miasto, co go grozą i strachem przepełniało.

A przecież tu, tu miał się dokonać wielki cud.

Tu miał wyłonić ze siebie to, co było dźwiękiem jego myśli, wyrazem jego uczuć, ruchem jego woli.

Tu miał według przyrzeczeń swego serca mieć tą, którą już raz posiadł, którą utracił, a na nowo miał ją tu odtworzyć, ulepić z brył swej najskrytszej piękności, najtajniejszego bytu swej istoty.

Lecz daremnie czekał, daremnie wytężał swą wolę, daremnie krzyczał i błagał za nią.

Wszystko daremnie.

I na cóż mu te pyszne Alkazary, na cóż te czary i dziwy, to straszne miasto grobów?

Na cóż przebył tyle rzek i gór i mórz, by tylko dostać się do tego miasta śmierci i mieć ją zawsze przy sobie?

Na cóż kłamała jego dusza, dając mu przyrzeczenie, że tu się dopełni on większy cud, że ile razy zechce, ona stanie przed nim i będzie jego?

I zdjął go straszny strach przed tymi potwornymi dziwami, co go wokół otaczały, i całą duszą zatęsknił do swej dawnej ojczyzny, do tego miasta w głębokiej kotlinie, dyszącego łuną gazowego światła, do tych ciemnych alei, po których dniami całymi błądził, kiedy ją szukał, do mrocznych kościołów, do tych wzgórzy co się poplątanemi pasmami pięły nad miastem i ciemną zielenią spływały w dół gdyby zwoje ciężkiego adamaszku...

Ciężką falą przelały się uroki tej świętej ziemi, kołyszące się łany zbóż w sennem upojeniu; ugory, gdy się rozmajaczą w letnich nocach; ogniki błędne co straszą po ciemnych bagniskach — ach — i całe to niebo, co się rozesłało w czarnych uroczyskach jezior, a z ich dna wykwita czar bladych gwiazd i ściele po szklistej powierzchni cichy urok zatopionych kościołów...

---

I znowu jął patrzeć na miasto, na wściekły strumień, co w kształcie pętlicy, lub jakiejś świętej Omegi, wrzał i pienił się wokół miasta.

Głęboko w skalistych bezdnach ciskał się z jednej katarakty do drugiej; kłębił się w wirowatych zatorach i odmętach; zlewał olbrzymie, spienione wód

kłęby; rzucał je na iglaste głazy, co ostrym grzebieniem z łożyska sterczały; staczał je w głębokie szczeliny raf, co się w dzikich linijach w granitowy brzeg wcinały; gotował się, pienił, wył i pędził, huczał w piekielnym niepokoju w spienionych wirach i rozhukanych tryśćcach.

Patrzał długo z namiętną jakąś cześcią na ten święty strumień, co cały łańcuch gór porozrywał, całe zasieki kamienia przerznął, wykopał sobie ganki i pieczary w głazach z granitu.

W blasku księżyca wyglądał jak strumień z stopionych promieni księżycowych, a tam, gdzie w niezliczonych wodospadach zlewał się w podziemne kanały w granicie wyżłobione, zdawał się ciskać kaskady zamrożonych stalaktytów światła księżycowego.

Z namiętną rozkoszą słuchał strasznego wycia obłąkanych zatorów, bo takim szałem rozpasała się jego rozpaczna tęsknota; i patrzał na upiorny, ponury blask kataraktów, bo tym blaskiem śniedzi i pleśni przeświecały jego spragnione, gorączkowe sny.

Zatamował oddech, wyprężył się w górę, rozwarł swoje ramiona i chciwie ssał oczyma upiorny cud.

I znowu wezbrało się jego serce nieznaną potęgą jak kiedyś w dawnej ojczyznie: dziki krzyk rwał mu się z serca, by słońce, które niósł w piersiach, pokazać całemu światu, ale zwolna począł opadać ze sił, zdjęła go jakaś miękka a rozkoszna niemoc, osunął się na ziemię:

Stało się coś niepojętego...

Był sam, odcięty od całego świata, gdzieś w pośrodku oceanu na wyspie, co olbrzymimi złomami bazaltu ciężko i szeroko na morzu osiadła.

Właściwie był to tylko jeden przepotężny słup bazaltu, w tysiąc kątów połamany wielobok, którego linie ścienne zlewały się w morze gdyby fałdy ciężkiego adamaszku, spływającego z katafalku.

I widział morze wokół wyspy w czasie przypływu. Fale pieniły się, tryszcząc i buchając zziejane; podrzucały się w skłębionych zawrotach i wlewały się na płaskowyż wyspy.

Pomiędzy wyspą a skalistemi rafami, co potwornym wieńcem wyspę okoliły, szalało morze, wypływało, zawracało i gotowało się w wirach i malstromach; na białą pianę zbite wód roztacza skraplały się w górze, wciąż od nowa podrzucane wściekłą siłą. Jak gdyby się roztworzył krater podmorskiego wulkanu i ciskał w górę wiry i kłęby w miazgę zbitej piany.

Patrzał z rozkoszą na te zaciekłe zapasy wód, co z jednej i drugiej strony pomiędzy wyspą a długą ławą skał wichrem i szałem na siebie się rzucały. Z jednej i drugiej strony lały się olbrzymie bałwany, ścierały się w środku wązkiego przesmyku, podlatywały w górę, to znowu zwalały się w prze-

pastne leje; szalały, wirowały wokół siebie, gdyby płynne ognie gotujących się słońc; rozpryskiwały się wokół gdyby popękane pierścienie planet — ale już lały się z jednej i drugiej strony straszliwe potopy nowych odmętów; przewalały się przez walczące bałwany; coraz nowe, coraz straszliwsze huragany rzucały się w przesmyk: całe morze szalało.

Z za widnokręgów wzdęło się morze w straszliwej potędze, wzniosło się w niebo, opadło, i jeszcze silniej się w górę zerwało; wokół wyspy wzrastał w niebos stropy wał trąb morskich; wyżej jeszcze, wyżej.

Morze się na niebie sklepiło, tryszcząc zawiejami, śnieżną wichrzycą piany — teraz znów ocean gdyby kopuła straszliwych chmur zwisł nad wyspą, ale wnet złamała się siła, co topiel od dna oderwała, pękła kopuła wód i z hukiem spadających światów oberwały się ich chmury, spadły na dno, wyskoczyły gajzerami w niebo, opadły znowu, przewaliły się potopem przez wyspę, zlały się — i cisza zapanowała.

I naraz ujrzał swoje miasto i z wzrastającem zdumieniem patrzał na nowy cud.

To było jego miasto, ale inne, nie z tego świata.

Od stóp Alkazaru wiły się ponad białymi dachami ulic olbrzymie pnie winnych latorośli. Wyrastały z fundamentów Alkazaru, rozrastały się nad całem miastem, pokryły wszystkie ulice, rozgałęziały się w olbrzymiem bogactwie; a całe miasto wydawało się jedną czarowną winnicą.

Pnie były z bronzu, liście z delikatnej blachy miedzianej, grona winne z ciemno-niebieskiego kamienia. I jak daleko oko sięgało, wiły się w splątanych

lianach bajeczne winorośla; na białych dachach krzemiennych rozlały się powodzią barw i tęczy miedziane liście i niebieskie grona, a ponad tem wszystkiem krzyczało niebo wściekłe Te-Deum światła, słońca i żaru.

Przymknął oczy, bo nie mógł znieść tych blasków i żarów, ale wrażenie zbiegło aż do tajemnych węzłów nerwowych, spłynęło z powrotem do mózgu i naraz usłyszał przeraźliwą symfonię grzmiących trąb, krzyczących fagotów, wyjących basów, piszczących skrzypiec: głowa mu pękała i przerażony uciekał przez cały las kolumn, krył się w najskrytsze głębie swego pałacu i padał nawpół martwy na ciężkich, miękkich kobiercach.

Nieskończona błogość przenikała jego ciało.

Z dawno nieznaną rozkoszą patrzył przed siebie.

Sala była niezmierna; olbrzymia aleja filarów zamykała się gdzieś w dalekiej oddali i tworzyła wązką szczelinę, przez którą się zwolna, leniwo i jakby obumarłe, przedzierało światło.

W tem świetle półświtów, skojarzonych z półzmrokiem, w tej miękkiej roztoczy barw i woni, w tem cichem jaśnieniu czerwonych porfirowych kolumn, kojonem niebieskawym oddechem bazaltowej posadzki i ciemnym akordem sufitu z drzewa cedrowego, uczuł nagle, że nadeszła wielka godzina...

Wieczór zlewał się na świat. Czerwień porfiru lśniła ciemnym blaskiem drzewa hebanowego; święte krowy kapitelów zlały się w bezkształtne cielska; światło, co wązką szczeliną kolumn alei wpływało, gasło, cichło, drżało, gdyby płomień gasnącej pochodni.

W tej świętej chwili powstał i zwolna, z wysoko wzniesioną głową, jak gdyby dźwigał mitrę zdobywcy świata całego, przeszedł przez las kolumn; stanął na granitowym tarasie swego Alkazaru; dusza jego wyłoniła się z pęt ciała i świętą łaską rozlała się nad miastem i oceanem w bezbrzeżnem szczęściu.

Liść miedziany pociemniał w głębokiej, tęsknej patynie; niebieskie grona zwieszały się czarną, zmęczoną plamą na ciemną zieleń liści, a białe dachy gasły i stygły — I było to jakby cicha modlitwa z marzeń i snów spowita, — tęskna, daleka pieśń gęśli jego niewolnic.

A w gasnącej powodzi światła i barw tęczy, w martwej ciszy miasta katakomb, uczuł wreszcie że jest sam jedyny na całym świecie, gdzieś na obcej, miliony mil odległej gwieździe; zapomniał, że jest jeszcze ktoś prócz niego na świecie.

Był sam.

Zciemniało. Zastygły cuda na niebie, i ciemna noc opadła ciężkim kirem na miasto.

A dusza jego drżała, błądziła, jak ptak przed burzą w strasznym niepokoju, bo czuła, że nadchodzi wielki cud, że przepaście się otwierają, że już blisko chwila, w której dusza wszelkie tajnie przenika i w przepych własnej nagości patrzy.

A było, jakby się ze wszech stron przestrzeń ścieśniała, ku niemu się zbliżała, jakby linie i kontury się od miasta odrywały, w nowe kształty się przetwarzać jęły; ciemność zdała się pogłębiać jeszcze, stała się ciałem, zbliżała się coraz bliżej — coraz bliżej, a naraz pękły czarne opony nocy i stało się światło, dziwne światło: jaśniejące tchnienie woni letnich nocy, zimny, jednostajny odbłysk ukrytych światów — stało się światło, jakie się tworzy przez refleksy metalicznych źwierciadeł, wewnętrzne światło, światło duszy wszechnatury.

I w tem bezświetlnem jaśnieniu widział, jak zwolna wstępowała na taras jego pałacu — Ona, Duch święty jego bytu odwiecznego, On—Ona.

I szła ku niemu jak światło zbłąkane wśród mgieł — jakby zwolna i z trudem przedzierała się świetlistą swą łaską przez głuche i ciemne opary, gdy w jesiennych rankach z nad bagnisk się wznoszą.

Szła, jak idzie na mile całe jęk dzwonów pod wieczór zimowy po śniegiem skrzących się polach, po czarnych ugorach i mrozem skostniałych burzanach na bezprzestrzennych bachorzach.

Szła zwolna, faliście, jak zmrok, gdy znachodzi śnieżyste, fioletowym czarem spowite góry. Poprzez rafy i szczeliny wdzierają się ostre, długie kliny cienia, mrokiem swym stapiają czystą jasność i tęskne fiolety — wżerają się długimi, ostrymi językami w iskrzącą się biel odwiecznego śniegu; gasną zwolna

kryształowe skry; mrocznieją płaskowyża i stoki; leje się cień, poważna, natchniona, pełna smutku, głębi i ciszy.

I szła ku niemu, jak idzie białe lśnienie srebrnych topoli w noc zaduszną, straszna i rozpaczna. Gdzieś na bólem stężałych polach osiadł i świszczy skłębiony tuman wiatru, a wraz biją o siebie smutnym dźwiękiem ostatnie, metalicznym łyskiem bielejące liście.

Cofnął się przerażony.

A poprzez las kolumn szła ku niemu srebrna jaśń, cicha jaśń światła, drącego ciężkie opony mgły, falistość jęków rozbujałych dzwonów, ponura tęsknota mroków, spływających z gór w dolin padoły.

Cofał się w najciemniejsze głębie swego Alkazaru, padł na twarz i szeptał drżący:

— Przyszłaś wreszcie. Dusza ma skrwawiona i skrzydła jej poszarpane, — przeszedłem góry i morza; zabija mnie upiorny strach tego miasta śmierci, ale czekałem, bo tak mi serce mówiło, że Cię tu znajdę...

Zaległa cisza. Zląkł się, że to nie ona.

I rozciągnął w krzyż swe ramiona i błagał rozpacznym szeptem:

— Kto jesteś?

A przez jego duszę przeszedł głos jak ciche lśnienie bolesnego uśmiechu, jak blada fala światła, niknący oddech rozmodlonego westchnienia:

— Jam jest najtajniejszą głębią Twej duszy. Jestem linią tego, coś przeżył; jestem dźwiękiem i barwą Twych snów; jestem celem Twoich pragnień; jestem krwią, którą wciąż odnowa Twoja chuć nabiega — przezemnie i wemnie zostałeś poczęty — przezemnie i wemnie dokona się żywot Twój...

A po olbrzymiej sali rozeszło się gdyby łkanie jesiennego deszczu, gdyby zaduszne tchnienie grobowych tajemnic, gdyby niewypłakana łza, co skamieniała na oku, stężałem w bólu, a o sklepienia odbił się żal i jęk:

— Pomnisz noc, gdym tuliła Twą twarz w mych dłoniach, gdym obejmowała Cię gorącym oplotem mych ramion; głowa Twa spoczęła na mej piersi, a jam błądziła cichymi palcami w Twych miękkich włosach?

Wił się z bólu; głos ten pełen jęku, pełen nieziemskich tęsknot, pełen strasznych wspomnień zapierał mu łkaniem piersi, wrastał w krtań — kajał się i błagał:

— Och chodź, chodź — tak długo czekałem na Ciebie, czekałem w tych strasznych grobach, bo tak mi dusza mówiła, że tu Cię odnajdę, i tu Cię mieć będę, ile razy zechcę.

Gdzież Cię uchwycić? Patrz szukam Cię naokoło, roztwieram me ramiona — spłyń — spłyń...

I zdało mu się, jakby ktoś przypadł do jego kolan, czołgał się przed nim, zwieszał się na jego szyi, opadał na jego piersi z rozkoszą i bólem mdlejących zachwytów.

Długie milczenie zaległo cedry sklepień i zielony syenit ścian poza kolumnami...

I czuł, czuł jej ciepłą, drobną, miękką rękę, widział ją w swej duszy, jak się nad nim chyliła i szeptała namiętnie:

— Tak długo błądziłam, szukałam i czekałam, czy może Twa ręka nie wyrwie mnie z nicości, nie ujmie mnie w kształty i w ciało nie przetworzy...

Słyszysz mnie ukochany? Czujesz mnie?

Odeszłam od Ciebie, boś patrząc na mnie, patrzał w Twoją własną duszę — bo jestem ciałem Twej myśli, jestem kształtem i ciałem Twych tęsknot, wyrazem Twych uczuć i ruchem Twej woli... Odeszłam, bom była Twojem zniszczeniem i śmiercią...

Odeszłam, ale dziś błagam, krzyczę ku Tobie: włoń Twoją rękę w moją nicość: niech powiąże miliony poszarpanych, rozwianych dźwięków w jeden akord mego ciała, niech stopi miliony wokół rozlanych barw w słońce, które to ciało ogrzeje...

O jasny mój, Boże mój promienny! Tak długo błądziłam, szukałam, krzyczałam za Tobą, ale wiatry przewiały mój krzyk i moją rozpacz, a Tyś mnie nie słyszał...

Nie lękam się już Twej zguby — wiem, że patrząc we mnie — w duszę Twoją — zginąć musisz, ale Ty przecież nie chcesz żyć bezemnie — więc wyrwij mnie ztąd lub przyjdź do mnie — przyjdź, och! przyjdź.

Tęsknota obłąkała mą duszę, orkany bólu rozwiały me złote włosy, och chwyć te strzeliste promienie, okręć je wokół Twych rąk, wyrwij mnie z tej otchłani, bo rajem jest z Tobą, a bez Ciebie piekłem...

Słyszysz mnie? Czujesz mnie?

I jakiś straszny ból tęsknoty, niewysłowionego żalu grał kurczowym podrywem w bezmiernej sali:

— O jasny, promienny mój — wołałam, wiłam się w krzyku i rozpacznej modlitwie, ale głos mój przebrzmiał, a nie oddźwiękło Twe serce — drżałam, chwytałam Cię; usta me Twych szukały; rozchylała się dla Ciebie mistyczna róża mego ciała, a nie odczuło mnie Twe serce; wczołgałam się w Twe sny, wiłam, kąpałam się w ich żarach —

a budząc się, zapominałeś o nieziemskich pieszczotach mego ciała...

I coraz silniejszą, gorętszą namiętnością rwał się głos jej:

— O spłyń Twą ręką po mej piersi, po mych biodrach, chwyć mnie w ramiona, podrzuć na Twą pierś, niech włos mój grzywą się najeży w dzikich pożarach Twej krwi...

Widzisz?

Patrz ciałem się staję! czujesz żar mego ciała? słyszysz bicie mego serca!?

Krzyknij, rozszalej Twą wolę, bym się stała...

A naraz zerwał się, wyprężył, zolbrzymiał orkanem woli i potrzykroć razy odbił się o sklepienia straszny krzyk:

Stań się!

I ujrzał ją, siebie samego — nagą, w świętym przepychu.

I już opadała ciałem i niszczącym żarem w jego ramiona; oplotła go; jej ciało wwinęło, wtuliło się w niego:

I znowu straszny krzyk...

Wszystko zanikło —

A otóż rozwichrzyły się na niebie olbrzymie fiolety przedpotopowych paproci; niebotycznymi szczytami wystrzeliły czarne lasy palm i cyprysów; cichą rozkoszą wykwitły w górę potężne lilie; wgryzały się w błękit krwawe języki potwornych orchidei; łagodnym smutkiem rozścielały się liście nenufarów; a wszystko to szalało w rozpasanym orkanie barw: zieleń, fiolety, purpura pasowały się z sobą w zaciekłych zapasach. Przez krzyki czerwieni palącego się żelaza wiły się fioletowe paski, gdyby strumienie górskie, widziane z najwyższych gór szczytów; w zatorach czerni i głębokich błękitów kwitły zielone plamy liści nenufarów, a na jeziorach ciemnej purpury kołysało się senne kwiecie białych lilij.

Było, jakby się naraz dawno zamarłe światy roztęczyły, kiedy jeszcze natura w olbrzymich potęgach się przejawiała; kiedy wierzchołki palm szczyty gór przewyższały, kiedy potężne pnie powojów i lianów lasy w nieprzerwalne gąszcze pętały, kiedy jeszcze gwiazdy w bezatmosferycznych przestrzeniach, gdyby olbrzymie księżyce bezżarnym, metalicznym blaskiem łyskały, a niebo całe krwawiło się ciemną purpurą stęchłej krwi.

I znów ją ujrzał, jak błądziła, gdyby jasny cień w rozkoszach ogrodów rajskich; jak nikła, rozwiewała się, spływała w krzyczących szałach barw.

I w strasznej tęsknocie krzyczał za nią, wyciągał ręce, błagał i łkał.

Stanęła. Cichem jaśnieniem przebiegł przez jej usta niewypowiedzianie słodki, tkliwy uśmiech.

A głos jej rozanielił się w jego sercu:

— Pójdź za mną. Ta miłość nie z tego świata. Pójdź za mną! Tam Ty i Ja staniemy się jedno — nie tu, nie tu...

Och chodź, chodź, słodki, jedyny mój — tak długo krzyczałam za Tobą, rwałam się ku Tobie, wiłam się w kurczach bólu i tęsknoty, a ciałem stać się nie mogłam, a teraz wiem, że żadna choćby najpotężniejsza ręka mnie ztąd wyrwać nie zdoła...

Och chodź, przyjdź jedyny kochanku mój!

Utulę Cię taką rozkoszą, uśpię Cię takimi czary, o jakich nie śniłeś w twoich najgorętszych snach, pokażę Ci nowe światy, odsłonię Ci opony wszystkich tajemnic, owinę Cię mojem ciałem, spoczniesz przy mnie jak na łonie Boga — czemu się wahasz?

Cofała się zwolna, spływała w dal, a on szedł za nią, chwiał, potykał się, ale zdawało mu się że jakaś niewidzialna siła sprzęgła jego oczy z jej postacią, rwała go za oczy, aż mu z orbit wychodziły — szedł — szedł...

Spływała w dal, gasła. Jeszcze jeden uśmiech jak słaba błyskawica, co się delikatnem jaśnieniem zleje wzdłuż krańców nieba:

Stał oszalały na tarasie swego pałacu i patrzał w straszliwe cuda.

---

Morze stało w płomieniach.

To już nie morze, ale orkany fal z płynącego metalu, tryszczące warami gotujących się kamieni.

Było, jakby cała powierzchnia ziemi płynną się stała, zagotowała i rozszalała się w przedpotopowych burzach, w potwornych konwulsyach, podrywach i szałach.

W czarne niebios sklepienia buchały wściekłe wodotryski kipiącego metalu, tryszczały geyzery gotujących się zatorów; opętane golfy kurczyły się, buchały i rzucały się na siebie w orkanach ognia i skier; ze wszech stron lały się straszne potopy ognia i warów; kołowały się w wirujących odmętach w gotującą się ciecz stopione głazy, skały i gór łańcuchy.

A otóż nagle zgasło morze i tam gdzie jeszcze przed chwilą widział wściekłe pożary, roztaczały się przed jego okiem nagie, rozwichrzone sierry.

Podartymi strzępami wykrzykiwały w niebo rozpasane odmęty kamienia, podrzucone i zastygłe w chwili gdy je straszny tai-fun ziemi w niebo ciskał. Wirowały się wokół zatory kamienne, skurczone, powikłane, wkręcone w niebo spiralną linią sprężyny. Z jednej i z drugiej strony wżerały się w siebie dwa łańcuchy gór, gdyby dwa rozjuszone malstromy, co się wzajem w bezdenne leje zwalić chciały. A z góry do dołu lały się wodospady kamienia, sterczały katarakty skalne; tu i owdzie ciskały się w niebo w kształt smukłych wieżyc ostre złomy i wirchy, jak gdyby w chwili skamienienia całe łono ziemi się w szmaty podarło i z wszelkich szczelin i czeluści płynne strumienie lawy z siłą Niagary w niebo ogniem rzygały.

I z wzrastającem przerażeniem patrzył na to w góry, skały i kruszec zsiadłe morze.

A naraz zajaśniały skały i gór łańcuchy czarnym połyskiem stali, niebieskiem lśnieniem rzniętego ołowiu, białawym błękitem cyny, brudną szarością żużli węgla

kamiennego; wyprysła i rozlała się tęcza wszelkiego kruszcu i nagich pokładów drogiego kamienia, a poprzez ten orkan stężałych wirów i zatorów, poprzez katarakty i gór malstromy, poprzez zwieszone kruszcem wirchy i złotodajne gór doliny, wił się w spiralach i parabolach, w dzikich splotach lianów i spowiciach winnych latorośli zielony golf omszałej miedzi.

I zwolna wzmagała się, rosła, potężniała jasność, aż wreszcie rozpaliły się wszystkie szczyty i stoki i złomy jakiemś bezżarnem, tęczowem światłem palących się soli i gazów, eterów i olei, — cały świat stał w pożarach, co trawiącą siłę ognia straciły — głuchych pożarach światów, nie otoczonych żadną atmosferą.

Zerwał się. Zdjęła go straszna trwoga, strach i przerażenie.

Dusza jego połączyła się z ciałem.

W dole, w głębokiej kotlinie, zgasło miasto; rozpierzchły się w górze ostatnie odgłosy, tylko wspomnienie wielkiej nocy cudu rozpostarło swe olbrzymie skrzydła nad światem.

Patrzał błędny, niepewny, co jawa, a co sen — jakby z najodleglejszych krańców ziemi dochodził go łoskot spadających wodospadów, a jak najdalsze echo wspomnień zamigotały przed jego oczyma złote szczyty wieżyc Alkazaru.

Zamknął oczy.

Coś, jak gdyby cichy łopot skrzydeł mewy polarnej:

Przyjdź, przyjdź!

Jakieś jaśnienie, jak gdyby błysnęła bezgłośna błyskawica:

Przyjdź, przyjdź!

Coś obejmowało słodkiemi rączętami jego serce, tuliło, całowało:

Przyjdź, przyjdź!

A z duszy wyrwał mu się namiętny, łkający krzyk:

Idę już idę!

A tam w dole ciemne aleje kasztanów. Zdawało mu się że widzi świetlaną jaśń jej postaci wśród czarnych drzew.

A tam w dole mroczne, wilgne kościoły, w których złożono zaśniedziałe sarkofagi książąt i królów. Zdawało mu się, że czuje jeszcze drganie jej serca, oddech jej gorący, ciepło krwi, którą się jej twarz zalała, gdy ją raz spotkał w ciemnych krużgankach.

A tam w dole — och! w tem mieście cudu kołysał ją jak dziecię w swych ramionach, to znowu gwałtownie podrzucał na piersi, to znów układał lekko na posłaniu, a wokół rozlewały się fale jej złotych, promienistych włosów.

Przypadł twarzą do ziemi, leżał długo, aż ból się w nim przełamał, a w sercu jego ucichło jakąś nadmierną ciszą nie z tego świata.

Leżał, wsłuchiwał się w siebie, zwrócił oczy w głąb swej duszy.

Cisza:

Morza zamarły, tętno ziemi bić przestało; ku niebu sterczyły obumarłe, zwęglone wierzchołki niebotycznych palm i pni potężnych paproci; na nieruchomych bezkresnych polach lodu leżał straszny posiew bielejących kości przedpotopowego stworzenia —

Cisza:

Zastygłymi promieniami wiązał się księżyc ze ziemią, a nie było ręki, któraby z tych strun choć jeden dźwięk wyrwać mogła, — szerokiem łonem rozwarła się ziemia, ale nie było światła, któreby je zapłodnić mogło: w bezpowietrznych obszarach wiszą bez ruchu ogromne gwiazdy w kształt zimnych globów miedzianych, a słońce, czarnym kirem pokryte, dogorywa, swym własnym ogniem strawione.

I w tej ciszy zerwała się w nim odnowa tęsknota za tą, którą już raz posiadł, którą utracił, a miał ją na nowo z duszy swej odtworzyć, z brył swych uczuć myśli i woli na nowo ulepić — a nie miał dość sił ku temu.

Całą duszą zatęsknił za tą, której już nigdy tu na ziemi nie miał ujrzeć. Noc cudu, którą z nią przeżył rozciągnęła się w nieskończoność; zdawało mu się, że był całą wieczność z nią razem, że skosztował cały bezmiar pieszczot, całą bezdeń rozkoszy.

I mówił do niej:

— O oczy wy moje,

tyle razy spływała moja dusza w zielone głębie wasze, gdyby spadająca gwiazda w otchłanie oceanu —

raz jeszcze wchłońcie bezmiar mego bólu; niech się w waszych bezdnach rozpłynie jak strumień światła niewidzialnych gwiazd w bezkresnych przestworzach, —

o oczy wy moje!

— O usta wy moje,

tyle razy błądził wasz smutek na mej piersi, wżerała się wasza rozpacz w me ciało, a wasza pieszczota syciła me usta słodkim jadem niewypowiedzianych żądz — tyle razy składałyście się do rozkosznych szeptów, do rozpustnych krzyków i bezładnych bluźnierstw, — tyle razy drgałyście jękami lubieżnego bólu, gdym silnem ramieniem przeginał to słodkie ciało, —

raz jeszcze niechaj się rozchyli wasz czarowny kielich, a zeń spłyną w mą duszę wasze straszne czary,

o usta wy moje!

— O głowo ty moja,

tyle razy tuliłem Cię do mego łona, tyle razy

obwisłaś w mym uścisku, przechylałaś się w żarach mych spragnionych ust, obezwładniona dreszczami rozkoszy opadałaś na miękkie posłanie, —

raz jeszcze wtul się w moje łono, rozlej toń Twych gwiezdnych promieni na mojem ciele — opaszę splotami twych jedwabnych zwojów gdyby królewskim naremnikiem ramiona moje,

o głowo Ty moja, o złoty strumieniu włosów, o strugo złota roztopionego!

— O całe ciało przenajsłodsze,

raz jeszcze rozszalej się przenajświętszym grzechem na mem rozżarzonem ciele, zamieraj w nieludzkiej pieszczocie, rozkrzycz się w dzikim szale rozpusty, pień się wielkiem Alelujach w ciemną otchłań, w której się pamięć zatraca,

o całe ciało moje!

---

W kotlinie u nóg jego zaległa czarna noc — jedno tylko światełko żarzyło wkształt tlącej się głowni.

Już nie rozpaczał. Tylko cicha tęsknota za temi oczyma, co swe gwiazdy odbijały w głębiach jego duszy taką bezmierną miłością, takim wielkim bólem i taką krwawą rozpaczą. Tylko cicha tęsknota za temi dłońmi, co tysiączne swe linie, całe swe rozpaczne losy i przeznaczenia w twarz jego wrażały. Tylko cicha tęsknota za jej szeptem, za jej smutnym uśmiechem, za tą mroczną zadumą, co raz poraz na jej białem, jasnem czole zalegała...

Już nie rozpaczał. Bo wiedział, że pójdzie do niej; połączy, zleje się z nią w odwiecznem łonie, które jego i ją porodziło.

W ciemnej nocy krzyczały dwa wielkie kwiaty; gięły się i kurczyły dwie łodygi narcyzów, a w jakiemś ciemnem morzu ujrzał odbicie dwóch płonących gwiazd.

Rozlewały się na spienionych falach w dwa długie strumienie, rwały się w roztopione bryły na pianę tryszczących grzbietach, to znowu stapiały się w ogromne złociste tarcze, ale coraz zbliżały się ku sobie, walczyły z wód odmętami, wydłużały i kurczyły się, biegły ku sobie wężami światła, rwały się, by rzucić się na siebie, aż wreszcie z wielkim krzykiem zlały się w jedno olbrzymie ognisko.

Tak!

On i ona mieli powrócić do wspólnego łona, by zlać się w to jedno ognisko, w to jedno święte słońce.

Tam się dokona cud; wielki, nieziemski cud:

będzie jednym i niepodzielnym,

będzie Bogiem wszechjedynym, znowu Bogiem, co tu na ziemi rozłamał się w kawałki i cząsteczki, —

odsłonią mu się niepojęte tajemnice, rozwiążą się wszystkie cele i przyczyny bytu, —

i zakróluje nad wszelką ziemią i wszem stworzeniem.

On—Ona.

Amen.

---

Objęła go pieszczota jej drobnych rącząt, owionęła go rozkoszna woń jej ciała, — dwie gwiazdy jej oczu wiodły go za sobą, a w duszy jego rozanielił się przedziwny szept jej głosu:

Idź już jasny mój, idź za mną!

A on szedł z wielkim tryumfem śmierci w swem

sercu tam, gdzie w oddali szklił się księżycem osrebrzony pasek ciemnych zatorów siedmioramiennego jeziora; szedł cichy i wielki, tylko z nieskończenie tkliwą miłością powtarzał bezustannie:

Idę już idę...

TOLEDO — KRAKÓW 98/99.